Lwów, Niedziela dnia 23. Lutego 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 4.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA
w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

BANK HIPOTECZNY KRAJOWY.

I.

Ostatni sejm galicyjski, obradując nad wnioskami Wydziału krajowego w sprawie podniesienia z upadku drobnej własności ziemskiej, postąpił sobie w ten sposób, jak konsyljum lekarzy nad chorym bez zrobienia dokładnej dyagnozy choroby. Tą dyagnozą miało być sprawozdanie ankiety ustanowionej przed trzema laty dla zbadania przyczyn zubożenia kraju, lecz że ta nie sformułowała dotąd swoich zapatrywań, a choroba coraz bardziej się rozszerza, Sejm przeznaczając pięćkroć sto tysięcy guldenów jako prezerwatywę przeciw dalszemu postępowi choroby, jednocześnie uchwalił rezolucję tej treści:

„Wzywa się Wydział krajowy, aby wziął pod rozwagę, czy w obec zaprowadzenia hipotek włościańskich byłoby pożądanem i już teraz na czasie utworzenie instytucji hipotecznej dla posiadłości włościańskich."

Wydział krajowy, mając taki fant w ręku, zwołał odpowiednią z ludzi fachowych złożoną ankietę, która mimo to, że jeszcze niewielka liczba osad włościańskich posiada uregulowane hipoteki, uznała już potrzebę założenia tego rodzaju instytucji. W następstwie tego, sformułowawszy zapatrywania swoje na organizację przyszłego zakładu kredytowego, nakreśliła dziesięć punktów mających być wskazówką przy układaniu statutu dla niego.

Wspomniane dziesięć punktów tak opiewają:

1. Instytucja stworzyć się mająca, powinna rozciągnąć działalność swoją na realności w miastach i miasteczkach z ograniczeniami w statucie wskazać się mającemi, a w szczególności co do kategorji miast, w których i są realności na które pożyczki mają być udzielane.

2. Ma być nadane jej prawo udzielania zaliczek na listy zastawne i obligacje krajowe, tudzież ich nabywania, oraz prawo udzielania zaliczek na papiery urzędowo notowane według instrukcji wydać się mającej.

3. W ogóle służyć jej ma prawo eskontowania weksli.

4. Na pokrycie pierwszych potrzeb, dane będą fundusze krajowe oprocentowane sposobem zaliczki, które instytucja zwróci z pierwszych swoich dochodów.

5. Instytucja nosi charakter zakładu krajowego.

6. Przyjmuje kapitały prywatne do lokacji czy to na książeczki, czy na rachunek bieżący.

7. Zakłada w miarę potrzeby filje.

8. Wydział krajowy ustanawia dla niej organa pomocnicze dla uproszczenia postępowania przy udzielaniu pożyczek.

9. Wydział krajowy mianuje Dyrekcję, jako władza nadzorcza i kontrolująca, tudzież zdaje sprawę z czynności przed Sejmem.

10. Instytucja korzystać będzie przy ściąganiu zaległości hipotecznych z egzekucji politycznej, i postara się u władz odnośnych o uproszczenie postępowania sądowego przy egzekucjach.

Wreszcie zdecydowano, że osiągnięte zyski z takich operacji, użyte będą na utworzenie kapitału rezerwowego, a później na zniżenie stopy procentowej dla wypożyczających.

Otóż program w ten sposób nakreślony dla czynności przyszłej instytucji, jak widzimy posunął się znacznie dalej niż mu rezolucja sejmowa wskazała, tworząc nie Zakład kredytowy hipoteczny dla małej posiadłości ziemskiej, ale po prostu Bank krajowy, na wzór i podobieństwo banków prywatnych mających prawo wypuszczania listów zastawnych. Pominąwszy albowiem możność udzielania zaliczek na kosztowności i towary, którą im ankieta odjęła, będzie on tem samem co Bank hipoteczny, co Bank kredytowy i inne, a cała różnica leży tylko w organizacji personalu zarządzającego i sposobie dostarczania kapitału obrotowego. Gdy banki prywatne manipulując funduszami akcjonarjuszów mają dyrekcje i rady nadzorcze wybierane przez tych akcjonarjuszów, tu kraj pożyczając kapitały projektowanej instytucji, sam obejmuje dyrekturę i spełnia obowiązki nadzoru i kontroli.

W obec takiego stanu rzeczy, mimowoli nastręczają się trzy następujące pytania do rozwiązania:

1. Czy instytucja taka, na którą zgodziła się ankieta, będzie rzeczywiście tą, o której myślał Sejm uchwalając na początku zacytowaną rezolucję?

2. Czy Wydział krajowy, a dalej i Sejm podejmując się utworzenia, a następnie i prowadzenia takiej instytucji, zechce przyjąć względem kraju wszelką za jej czynność odpowiedzialność? wreszcie:

3. Czy w razie pomyślnej odpowiedzi na dwa powyższe pytania, nowa instytucja posiadać będzie odpowiednie siły i warunki, które jej pozwolą działać z korzyścią dla kraju?

Ponieważ sprawę tę, kraj cały uważać musi jako decydującą prawie o jego przyszłości ekonomicznej i socjalnej, nic też dziwnego, że jest ona przedmiotem powszechnej dyskusji, i że my pozwalamy sobie także zwrócić na nią uwagę naszych czytelników.

Wstrzymując się na chwilę z daniem odpowiedzi na postawione powyżej pytania, pozwolimy sobie rozpatrzyć się nieco w obecnej sytuacji wszelkiej własności ziemskiej w Galicji zwracając uwagę na to, czy dalsze obciążanie hipotek pożyczką, może jej przynieść jakikolwiek pozytywny ratunek.

Że sytuacja ta w ogóle jest rozpaczliwą, o tem zdaje się nikt nie wątpi, lecz gdzie leży jej prawdziwa przyczyna, tego dokładnie nie wiemy. Widzimy, że dochody z ziemi nie wystarczają nie tylko na opędzenie bardzo skromnych potrzeb właścicieli, ale częstokroć na pokrycie kosztów samej produkcji i ciężarów publicznych. Dalej, że pomimo największych wysileń pracy, oszczędności i zapobiegliwości gospodarzy, żyją oni kosztem własnej egzystencji, bo długi ciążące na tej własności co roku się zwiększają, produkcja upada, wywóz się zmniejsza, a nie ma żadnej nadziei, aby sytuacja taka miała widoki na jakieś polepszenie. Zarzucano dawniej obywatelom ziemskim lekkomyślność, życie nad stan,

brak zamiłowania do pracy, brak znajomości swego fachu, dziś tego wszystkiego już nie ma, a mimo to nietylko oni, ale nawet włościanie z bardzo skromnemi potrzebami, już nie są w stanie egzystować. Dlatego wielki żal musimy mieć do owej ankiety zbierającej materjały do sprawozdania o przyczynach zubożenia kraju, że dotąd nie była wstanie sformułowania swoich zapatrywań, które rzuciłyby ważne światło na tę opłakaną i żywotną dla nas sprawą.

Podług pewnych danych i ogólnych spostrzeżeń, jakie się w tym względzie nasuwają, przyczyny tego anormalnego upadku mają swoje źródło nie tylko w wewnętrznych ale i zewnętrznych stosunkach, a nawet kto wie, czy te ostatnie nie będą głównym motorem oddziaływującym na pierwsze. Jak to wspomnieliśmy kiedyś rozpatrując sytuację Lwowa jako punktu centralnego dla handlu zbożem, zbudowanie nowych kolei żelaznych sięgających do głębi urodzajnych obszarów południowej Rossji, deprymująco oddziałało na ceny zboża w całej Europie, a szybkie wzrastanie uprawy ziarna w Ameryce i Australji, wpłynąć musiało na zmianę gospodarstw rolnych tam, gdzie przedtem taka zabójcza prawie konkurencja nie istniała.

Zachodnia Europa, od razu spostrzegła jakie jej rolnictwu grozi ztąd niebezpieczeństwo i nie namyślając się długo, jak to mówią, zmieniła front, aby przez forsowną uprawę, wzmocnioną hodowlę bydła i owiec, połączenie przemysłu z gospodarstwem, ułatwienie komunikacji, wreszcie wyszukania taniego dla rolnictwa kredytu stanąc gotową do walki z nadciągającym nieprzyjacielem. A jakkolwiek dotąd rywalizacja ta nie osiągnęła zupełnego skutku i wciąż walczyć musi, to jednak już z wiarą we własne siły spokojniej zapatruje się na przyszłość. Niestety u nas w Galicji o tem wszystkiem nie wiedziano; i dziś jeszcze nie możemy się zorjentować zapytując się wzajemnie, co to się u kaduka takiego zrobiło na świecie, że gospodarstwo się nie opłaca?

HANIA.

Powieść LITWOSA.

V.

(Ciąg dalszy.)

Po obiedzie dnia tego, siedliśmy wszyscy w obszernym, winem obrośniętym ganku, z którego widok był na ogromny dziedziniec i w dali na cienistą drogę zasadzoną lipami. Pani d'Yves robiła szydełkiem obrus do kaplicy, ojciec i ksiądz Ludwik palili fajki, popijając czarną kawę, Kazio kręcił się przed gankiem, goniąc oczyma zwroty powietrzne jaskółek, do których miał ochotę strzelać kulami, a do których ojciec strzelać mu nie pozwolił; my zaś z Hanią oglądaliśmy przywiezione przezemnie rysunki i jaknajmniej myśleliśmy o rysunkach, przynajmniej dla mnie służyły one tylko dla ukrywania przed innemi spojrzeń, jakie rzucałem na Hanię.

— Cóż, a jakże tam znalazłeś Hanię? zbrzydła ci bardzo, panie opiekunie? — spytał mnie ojciec poglądając żartobliwie na dziewczynkę.

Zacząłem nader pilnie wpatrywać się w rysunek i odpowiedziałem z po za papieru.

— Nie powiem, ojcze, żeby zbrzydła, ale wyrosła i zmieniła się.

— Już mi pan Henryk robił o te zmiany wyrzuty — wtrąciła swobodnie Hania.

Podziwiałem jej odwagę i przytomność: ja byłbym o tych wyrzutach tak swobodnie nie wspominał.

— Co tam, czy zbrzydła, czy wyładniała — rzekł ksiądz Ludwik — ale uczy się i szybko i dobrze. Niech madame powie jak prędko nauczyła się po francusku?

Trzeba wiedzieć, że ksiądz Ludwik, lubo człowiek bardzo wykształcony, nie umiał po francusku i nie mógł się nauczyć, choć kilkanaście lat spędził pod naszym dachem z panią d'Yves. A biedak miał słabość do francuzczyny, i znajomość jej uważał za niezbędną cechę wyższego wykształcenia.

— Nie mogę Hani zaprzeczyć, że uczy się łatwo i chętnie — odpowiedziała pani d'Yves, — ale jednak muszę się na nią panu poskarżyć — dodała zwracając się ku mnie.

— O pani, cóżem znów przewiniła? — zawołała Hania składając ręce.

— Coś przewiniła? zaraz się tu będziesz tłumaczyć — odparła pani d'Yves. — Niech sobie pan wyobrazi, że ta panienka jak tylko znajdzie chwilę czasu, zaraz chwyta za powieść, i mam pewne powody sądzić, że kiedy idzie spać, to zamiast zgasić świecę i spać — czyta jeszcze po całych godzinach.

— To robi bardzo niedobrze; ale zresztą wiem zkądinąd, że naśladuje swoją nauczycielkę — rzekł mój ojciec, który lubił się sprzeciwiać pani d'Yves, gdy był w dobrym humorze.

— O, bardzo przepraszam, ja mam czterdzieści pięć lat — odpowiedziała Francuzka.

— Patrzcie, nigdybym tego nie powiedział — odrzekł ojciec.

— Niedobry pan jesteś.

— Nie wiem, ale wiem tylko, że Hania, jeżeli dostaje zkąd powieści, to nie z bibljoteki, bo klucz od bibljoteki ma ksiądz Ludwik. Wina zatem na nauczycielkę spada.

Rzeczywiście pani d'Yves całe życie czytywała romanse, a mając namiętność do opowiadania ich wszystkim, musiała zapewne opowiadać je Hani, dla tego w słowach ojca nawpół żartobliwych kryła się pewna prawda, którą umyślnie chciał wypowiedzieć.

— Patrzcie państwo, ktoś do nas jedzie — zawołał nagle Kazio.

Spojrzeliśmy wszyscy w ciemnię lipowej alei i istotnie na początku jej, może o wiorstę jeszcze drogi, ujrzeliśmy obłok kurzu, który przybliżał się ku nam z nadzwyczajną szybkością.

— Kto to może być? co za szybkość! — zauważył powstając ojciec. — Kurz taki, że nic nie można rozeznać.

Rzeczywiście upał był ogromny; deszcz nie padał już przeszło przez dwa tygodnie, więc po drogach tumany białego pyłu wznosiły się za każdym ruchem. Patrzyliśmy jeszcze chwilę napróżno na zbliżający się obłok, który był już nie dalej jak o kilkadziesiąt kroków od dziedzińca, gdy nagle z tumanu wychyliła się głowa końska z czerwonemi rozdętemi chrapami, z ognistemi oczyma i z rozwianą grzywą. Biały koń pędził w największym galopie, nogami zaledwie tykając ziemi, a na nim pochylony na szyję końską po tatarsku nie kto inny, tylko mój przyjaciel Selim.

— Selim jedzie, Selim! — zawołał Kazio.

— Co ten warjat robi! brama zamknięta! — krzyknąłem zrywając się z miejsca.

Nie było czasu już bramy otworzyć, bo nikt nie zdołałby na czas zapobiedz, tymczasem Selim pędził jak szalony na oślep, i prawie pewnem było, że wpadnie na sztachety przeszło dwa łokcie wysokie i pozaostrzane u góry.

— Boże zmiłuj się nad nim! — wykrzyknął ksiądz Ludwik.

— Brama! Selimie! brama! — krzyczałem jak opętany machając chustką i biegnąc co siły w poprzek dziedzińca.

Nagle Selim, o jakie pięć kroków od bramy wyprostował się na siodle, zmierzył spojrzeniem jak błyskawicą sztachety. Potem doszedł mnie krzyk kobiet siedzących w ganku, gwałtowne tupotanie kopyt: koń wspiął się, zawisnął przedniemi kopytami w powietrzu i w największem pędzie przesadził sztachety, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Dopiero przed gankiem Selim osadził go tak, że aż kopyta zaryły mu się w ziemię, i zerwawszy kapelusz z głowy, zaczął wywijać nim jak chorągiewką i krzyczeć:

— Jak się macie moi drodzy, kochani państwo! jak się macie! Moje uszanowanie panu dobrodziejowi! — wołał kłaniając się ojcu — moje uszanowanie kochanemu księdzu, pani d'Yves, pannie Hani. Jesteśmy znów wszyscy razem. Wiwat! wiwat!

To mówiąc zeskoczył z konia i rzuciwszy cugle Frankowi, który w tej chwili wybiegł z sieni, począł ściskać ojca, księdza i całować po rękach kobiety.

Pani d'Yves i Hania były jeszcze blade ze strachu, ale właśnie dla tego witały Selima jak ocalonego, a ksiądz Ludwik rzekł:

— A warjacie, warjacie: coś ty nam strachu narobił. Myśleliśmy, że już po tobie.

— No, albo co?

— A z tą bramą. Jak to można tak pędzić na oślep!

— Na oślep? Przecie ja widziałem, że brama zamknięta. Oho! mam ja swoje doskonałe tatarskie oczy.

— I nie bałeś się skakać?

Selim rozśmiał się.

— Nie! ani trochę, księże Ludwiku. Ale wreszcie to zasługa mego konia, nie moja!

— Voilà un brave garçon! — rzekła pani d'Yves.

— O tak! nie każdyby się na to odważył — dodała Hania.

— Chcesz powiedzieć — odparłem — że nie każdy koń by przeskoczył, bo ludzi znalazłoby się takich więcej.

Hania zatrzymała na mnie długie spojrzenie:

— Nie radziłabym panu próbować.

Poczem spojrzała na Selima, a wzrok jej wyrażał podziw, bo istotnie pominąwszy już zuchwały krok tatara, który był jednym z tych hazardów, jakie zawsze podobają się kobietom, trzeba było widzieć go jak wyglądał w tej chwili. Śliczne czarne włosy spadły mu na czoło, policzki miał zarumienione szybkim ruchem, oczy błyszczące, z których biła

wesołość i radość. Gdy stał teraz koło Hani, patrząc jej z ciekawością w oczy — piękniejszych dwojga ludzi żaden artysta nie umiałby wymarzyć.

Co do mnie, byłem do najwyższego stopnia dotknięty jej słowami. Zdawało mi się, że owo: „Nie radziłabym próbować“ — wyrzekła głosem, w którym drgał jakiś ton ironji. Spojrzałem pytającym wzrokiem na ojca, który przed chwilą oglądał Selimowego konia. Znałem jego ambicję rodzicielską, wiedziałem, że był zazdrośny ilekroć kto w czemkolwiek mnie przewyższył, a w Selimie gniewało go to oddawna; dlatego liczyłem, że nie sprzeciwi mi się, jeżeli zechcę okazać, iż nie jestem gorszym od Selima jeźdźcem.

— Ten koń istotnie dzielnie skacze, ojcze — rzekłem.

— Ale i ten szatan dzielnie siedzi — odmruknął. — A ty, czybyś tak potrafił?

— Hania wątpi — odparłem z pewną goryczą. — Możeż spróbować?

Ojciec zawahał się, rzucił oczyma na sztachety, na konia, na mnie, i rzekł:

— Daj pokój.

— Naturalnie — zawołałem z żalem. — Lepiej mi uchodzić za babę w porównaniu z Selimem.

— Henryku! co też ty wygadujesz! — zawołał Selim, otoczywszy moją szyją ramieniem.

— Skacz! skacz chłopcze! a spraw się dobrze! — rzekł ojciec, którego duma była dotknięta.

— Konia mi tu! — zawołałem na Franka, który oprowadzał zwolna po dziedzińcu zmęczonego wierzchowca.

Hania nagle zerwała się z miejsca.

— Panie Henryku! — zawołała — to ja jestem powodem tej próby. Ja nie chcę, nie chcę. Pan tego nie zrobi... dla mnie.

I to mówiąc patrzyła mi w oczy, jakby chciała dopowiedzieć wzrokiem wszystko to, czego nie mogła wyrazić słowami.

Ach! za ten jej wzrok, oddałbym ostatnią kroplę krwi w tej chwili, ale nie mogłem i nie chciałem się cofnąć. Obrażona duma moja była w tej chwili silniejszą od wszystkiego, dlatego zapanowałem nad sobą i odpowiedziałem sucho:

— Mylisz się Haniu, jeśli sądzisz, że ty jesteś powodem. Będę skakał dla własnej przyjemności.

To mówiąc, mimo protestacji wszystkich z wyjątkiem ojca, siadłem na koń i stępo ruszyłem w lipową aleję. Franek otworzył bramę i zamknął ją za mną natychmiast. Miałem gorycz w duszy i skakałbym przez te sztachety, choćby jeszcze dwa razy były wyższe. Ujechawszy ze trzysta kroków, zwróciłem konia i puściłem go kłusem, który natychmiast zmieniłem w galop.

Nagle spostrzegłem, że siodło chwieje się podemną.

Stało się jedno z dwojga: albo popręg nadpękł w czasie porzedniego skoku, albo Franek rozluźnił go koniowi dla odetchnienia, i przez głupotę, czy może przez zapomnienie, nie ostrzegł mnie o tem dość wcześnie.

Teraz już było zapóźno. Koń w największym pędzie zbliżał się do sztachet, ja zaś nie chciałem go już cofać. Zabiję się, to się zabiję! myślałem sobie. Ogarnęła mnie jakaś rozpacz. Scisnąłem konwulsyjnie boki konia; wiatr świszczał mi w uszach. Nagle sztachety błysnęły mi tuż przed oczyma, machnąłem szpicrutą, uczułem się uniesiony w powietrze, o uszy obił mnie się krzyk z ganku, w oczach mi pociemniało, i... po chwili ocuciłem się z omdlenia na gazonie.

Zerwałem się na równe nogi.

— Co się stało? — zawołałem — Zleciałem? Zemdlałem?

Koło mnie stał ojciec, ksiądz Ludwik, Selim, Kazio, pani d'Yves i Hania blada jak płótno ze łzami w oczach.

— Co ci jest? co ci jest? — wołano ze wszystkich stron.

— Nic zupełnie. Zleciałem, ale to nie z mojej winy. Popręg był pęknięty.

Istotnie po chwilowem omdleniu czułem się zdrów zupełnie, tylko trochę brakło mi oddechu. Ojciec począł dotykać moich rąk, nóg i pleców.

— Nie boli? — pytał.

— Nie. Jestem zdrów zupełnie.

Wkrótce wrócił mi i oddech. Byłem tylko zły, bo mi się zdawało, że wydaję się śmiesznym. Bo też i musiałem wyglądać śmiesznie. Zlatując z konia, przeleciałem z impetem przez całą szerokość drogi idącej koło trawnika i padłem na trawnik, skutkiem czego łokcie i kolana mego jasnego ubrania umalowane były na zielono, a ubranie i włosy w nieładzie. Ale z tem wszystkiem niefortunny ów wypadek oddał mi na razie pewną przysługę. Oto przed chwilą przedmiotem ogólnego zajęcia naszego kółka był Selim jako gość świeżo przybyły — teraz ja, wprawdzie kosztem moich łokci i kolan odebrałem mu tę palmę. Hania przypisując ciągle sobie, a mówiąc nawiasem, słusznie, powód tej hazardownej próby, która tak mogła się źle dla mnie skończyć, starała się wynagrodzić mi dobrocią i słodyczą swoją nieostrożność. Pod takim wpływem odzyskałem też wkrótce wesołość, która udzieliła się i całemu przed chwilą przerażonemu towarzystwu. Bawiliśmy się doskonale; podano podwieczorek, przy którym Hania była gospodynią, a potem wyszliśmy do ogrodu. W ogrodzie Selim rozszalał się jak małe dziecko; śmiał się, dokazywał, a Hania pomagała mu z całej duszy. Wreszcie Selim rzekł:

— Ach jak my się teraz będziem bawić we troje!

— Ciekawam — rzekła Hania — które z nas najweselsze?

— To pewno ja — odpowiedział.

— A może ja? O ja także z natury jestem bardzo wesoła.

— A najmniej wesoły, to Henryk — dorzucił Selim. — On z natury jest poważny i trochę melancholiczny. Żeby żył w średnich wiekach, to zostałby błędnym rycerzem i trubadurem, tylko prawda: nie umie śpiewać! Ale my — dodał zwracając się do Hani — tośmy się w korcu maku szukali i dobrali.

— Ja się na to nie zgadzam — rzekłem. — Za dobrane usposobienia uważam usposobienia przeciwne, bo w takim razie jedno ma te własności, których brak drugiemu.

— Dziękuję ci — odparł — Selim. — Przypuszczam, że ty z natury lubisz płakać, a panna Hania się śmiać. No, dajmy na to: żenicie się...

— Selim!

Selim spojrzał na mnie i począł się śmiać...

— A to co paniczku!? Ha! ha! A pamiętasz ty mowę Cycerona Pro Archia? „commoveri videtur juvenis“, co po polsku brzmi: zmięszanym wydaje się być młodzieniec. Ale to nie znaczy nic, bo ty sławnie nawet bez powodu raki pieczesz. Panno Hanno! on sławnie raki piecze, a teraz napiekł ich za siebie i za panią.

— Selim!

— Nic, nic! Wracam do założenia. Ty więc panie Płaczku, i pani, — pani Smieszko, żenicie się. Otóż co się dzieje: on zaczyna beczeć, pani zaczyna się śmiać — nie rozumiecie się nigdy, nie schodzicie się nigdy, rozchodzicie się zawsze i co mi to za dobrane natury. O! ze mną to co innego! my poprostu śmielibyśmy się całe życie i koniec.

— Ach co też pan mówi! — odpowiedziała Hania — swoją drogą oboje zaczęli się śmiać w najlepsze.

Co do mnie, nie miałem do śmiechu najmniejszej ochoty. Selim ani wiedział jaką mi krzywdę robił wmawiając w Hanię ową różnicę między usposobieniem jej i mojem. Byłem do najwyższego stopnia rozgniewany i dlatego ozwałem się do Selima z przekąsem:

— Dziwny masz pogląd, a dziwi mnie on tembardziej, że zauważyłem, iż masz pewną słabość do osób melancholicznych.

— Ja? — rzekł z niekłamanem zdziwieniem.

— Tak. Przypomnę ci tylko pewno okienko, kilka fuksji w okienku i twarzyczkę między fuksjami. Daję ci słowo, że nie znam tak melancholicznej twarzy.

Hania poczęła klaskać w ręce!

— Oho! dowiaduję się czegoś nowego! — zawołała śmiejąc się. — A ślicznie panie Selimie! ślicznie!

Myślałem, że Selim zmięsza się i straci fantazję, ale on tylko rzekł:

— Henryku!

— Co?

— Wiesz co robią z tymi, co mają za długi język?

I w śmiech.

Hania jednak poczęła mu się sprzeciwiać i napierać, by powiedział jej choć imię swojej wybranej. Nie namyślając się długo powiedział: „Józia!“ Ale gdyby sobie był co z tego robił, zapłaciłby drogo za swoją szczerość, bo Hania odtąd nie dała mu już spokoju, aż do samego wieczora.

— Czy ładna? — pytała.

— Taka sobie!

— Jakie ma włosy, oczy?

— Ładne, ale nie takie, jakie mi się najwięcej ze wszystkich podobają.

— A jakież się panu podobają?

— Włosy jasne, a oczy, jeżeli łaska, niebieskie, takie jak te, w które patrzę teraz.

— Oo! panie Selimie!

I Hania nadchmurzyła się, Selim zaś złożył ręce, przymilił się, i z tą swoją nieporównaną słodyczą w oczach począł mówić:

— Panno Hanno! niech pani się nie gniewa! co pani biedne Tatarzysko zawiniło? Niech pani się nie gniewa! niech pani się rozśmieje.

Hania patrzyła na niego, i w miarę jak patrzyła, chmurka znikła z jej czoła. Poprostu oczarował ją. Uśmieszek począł się błąkać

*

w kącikach jej ust; rozjaśniały się oczy, rozpromieniła twarzyczka i wreszcie odpowiedziała miękkim, łagodnym głosem:

— Dobrze, nie będę się gniewać, ale proszę być grzecznym.

— Będę, jak Mahometa kocham, będę!

— A bardzo pan kocha swojego Mahometa?

— Jak psy dziada.

I znowu zaczęli się śmiać oboje.

— No, a teraz niech mi pan powie — podjęła na nowo rozmowę Hania — w kim się kocha pan Henryk? Pytałam go, ale mi nie chciał powiedzieć.

— Henryk?... Wie pani co (tu Selim popatrzył na mnie z pod oka), on się chyba jeszcze w nikim nie kocha, ale się będzie kochał. Oho! wiem doskonale w kim! i co do mnie...

— Co do pana?... — spytała Hania usiłując pokryć zmięszanie.

— Zrobiłbym toż samo. Ale z resztą... poczekajcie państwo: może on się już i kocha.

— Tylko proszę cię daj pokój, Selimie!

— Mój to poczciwy chłopczysko! — rzekł — Selim ściskając mnie za szyję. — Ach! żeby pani wiedziała jaki on poczciwy!

— O wiem o tem! — odrzekła Hania. — Pamiętam jaki był dla mnie po śmierci dziadka.

Cmhurka smutku przeleciała teraz między nami.

— Powiadam pani — mówił Selim chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot — powiadam pani, że jak po egzaminie do Szkoły Głównej popiliśmy się razem z naszym mistrzem...

— Popili?

— Tak! O! to jest zwyczaj taki, któremu nie można uchybiać. Więc kiedyśmy się popili, wtedy — bo to ja, widzi pani, jestem roztrzepany — wniosłem pani zdrowie. Niemądrze zrobiłem, widzi pani, ale Henryk jak się zerwie: — Jak ty śmiesz wymawiać imię Hani w takiem miejscu — powiada do mnie? — Bo to był sobie sklep pijacki. Małośmy się nie poczubili. Ale on pani nie da ubliżyć, co nie, to nie.

Hania podała mi rękę.

— Panie Henryku! jaki pan dobry.

— No, dobrze — odpowiedziałem ujęty słowami Selima — ale powiedz sama Haniu, czy Selim nie jest równie poczciwy, że opowiada takie rzeczy.

— O to mi wielka poczciwość! — rzekł śmiejąc się Selim.

— Ale tak! — odpowiedziała Hania — obaj panowie jesteście warci siebie, i będzie nam razem bardzo dobrze.

— Pani będzie naszą królową! — wykrzyknął z zapałem Selim.

— Panowie! Haniu! prosimy na herbatę! — ozwał się z werandy ogrodowej głos pani d'Yves. (C. d. n.)

LEON SAPIEHA.

(Ciąg dalszy.)

Po roku 1848, zwrócił ks. Leon główną usilność swoją ku zaopatrzeniu kraju w koleje żelazne.

Już w poprzednich latach rozwinął był Sapieha, obok swoich usiłowań skierowanych ku reformie społecznej, a mianowicie ku zniesieniu pańszczyzny, działalność swoją na polu ekonomicznem.

Towarzystwo gospodarskie i Towarzystwo kredytowe zostawały długo pod jego kierownictwem i zawdzięczają jemu swój początek i dalszy rozwój.

Niebył on twórcą ani jednego, ani drugiego, ale projekty wygotowane od lat wielu i spoczywające w biurach rządowych byłyby jeszcze niewiedzieć jak długo zalegały, gdyby nie skrzętność Sapiehy, który je wydobył na świat i wprowadził w życie.

Pomysł do zawiązania osobnego *banku narodowego* dla Galicji istniał już od r. 1790.

Wtenczas to w zażaleniach i życzeniach swoich przedstawieniach cesarzowi Leopoldowi II żądały stany między innemi zaprowadzenia takiego zakładu, który nazwano w tekscie francuskim memorjału (art. 19ty) *Banque nationale.*

Od owej chwili należał projekt takiego banku do mnóstwa podobnych pokutujących w biurach referentów, które przy sposobności wywlekano na jaw, jako dowody „ojcowskiej pieczołowitości rządu", gdy chodziło o zażegnanie jakiego niezadowolenia w kraju lub wyłudzenie jakiej daniny; wywlekano je na chwilę, aby je znowu pogrzebać w archiwach kancelarji i kamer nadwornych.

Taki los spotkał też i projekt banku narodowego dla Galicji.

Sapieha udał się w r. 1840 do ówczesnego *najwyższego kanclerza*, Mittrowskiego, i przez niego wyjednał wprowadzenie w życie *Towarzystwa kredytowego.* Otrzymaliśmy instytucję bardzo pożyteczną, jednak o właściwym banku narodowym dla naszego kraju niedozwoliły nam myśleć: zazdrość finansistów wiedeńskich i macoszyńskie dla Galicji usposobienie niemieckich centralnych rządów.

Kasa oszczędności we Lwowie, pierwsza tego rodzaju instytucja w kraju, jakkolwiek nie Sapiehy jedynie staraniem założona, zawdzięcza jednakże bardzo wiele jego poparciu.

Akademji technicznej poświęcił on także znakomitą baczność.

Najdonioślejszą jednak ze wszystkich ekonomicznych działalności Sapiehy było jego staranie około zaopatrzenia Galicji w koleje żelazne.

Poświęca on w pamiętniku swoim dosyć obszerny dział tej sprawie, lecz wobec tajemnicy jaka wedle życzenia rodziny osłaniać ma do czasu jego pamiętnik, a to ze względu, że dotyka on bardzo wiele osób jeszcze żyjących i publicznie działających, nie mogliśmy wiele skorzystać z pamiętnika i polegać musimy po części na własnej pamięci.

Tycze się to jeszcze bardziej działalności Sapiehy w Sejmie, o której nie mogliśmy z jego pamiętnika żadnej zasięgnąć wiadomości.

Kiedy już cała Europa doznawała ogromnego wpływu kolei żelaznych na dobrobyt krajów, zaczęto i u nas myśleć o takowych, dała się bowiem coraz bardziej uczuwać potrzeba *łatwej i taniej komunikacji!*

Wiedziałem, pisze Sapieha w swoim pamiętniku, że, jeżeli się sami nie weźmiemy do dzieła, będziemy ostatni, którzy kolej otrzymamy. Stanowisko Sapiehy było już wtedy tak znaczące w kraju, że wszyscy, którzy uczuwali potrzebę takiej instytucji, zwrócili na niego oczy, jako na jedynego męża, który rzeczy dokonać jest wstanie.

„Zewsząd poczęto na mnie nalegać, jeszcze długo się broniłem, bo wiedziałem, jaka to będzie praca, ile trzeba będzie poświęcić, a przeważnie przebywać w Wiedniu. Wymagało to także zaryzykowania znacznej części majątku. Nalegania były tak silne, że w końcu uległem i zdecydowałem się podjąć tej roboty."

Będąc mało obeznany z przedmiotem odbył umyślną podróż za granicę, aby zbadać jak się w innych krajach do tego biorą. Pojechał do Drezna, Lipska, Magdeburga, ztamtąd do Belgji. W Niemczech znalazł koleje w ręku prywatnych towarzystw, w Belgji było wszystko w rękach rządu.

Dano Sapieże wszędzie do przejrzenia instrukcje i rachunki. Przekonał on się o dwóch rzeczach. Pierwszą było, że koleje w rękach rządu więcej kosztują, niż w rękach prywatnych przedsiębiorstw, w Belgji 70% dochodu brutto spożywała administracja, na kolei Drezdensko-Lipskiej i Lipsko Magdeburskiej wyniosły koszta administracji 50%.

Oprócz tego przekonał on się, że wszędzie koleje państwowe są tylko środkiem dla ministrów do jednania sobie przyjaciół i głosów w parlamencie.

Wogóle całe rozpoznanie wypadło wielce na niekorzyść kolei rządowych.

Starał on się o koncesje na kolej, z Krakowa do Lwowa, ze Lwowa do Brodów i do Czerniowiec, które miały być przez jedno towarzystwo podjęte. Miał wtedy głównie do czynienia z ministrami Bachem, Bruckiem i Toggenburgiem.

Sapieha opowiada szczegółowo w pamiętniku swoim, jak przyszedł do koncesji na kolej Krakowsko-Lwowską, jakie musiał staczać walki i na jakie był narażony ryzyko. Musimy pominąć te szczegóły ze względu na brak miejsca. Nadmienimy tylko, że musiał krok za krokiem staczać walkę z Bruckiem, który mu chciał narzucać Niemców przy propozycjach do rady zawiadowczej i do administracji, oprócz tego z innemi ministrami o nieufność, niechęć i zazdrość do Polaków i naszego kraju w ogóle, nareszcie walkę z nieufnością własnych rodaków i z interesami bankierów, którzy w końcu zdziwili się, że Sapieha zarachował małe koszta założenia, bo nie więcej jak 30.000 zł.

Po otrzymanej koncesji napotykał także niemałe trudności przy obsadzaniu posad krajowcami. Między tymi zauważył Sapieha, że technicy lwowscy okazali się bardziej przysposobionymi do służby kolejowej, niż krakowscy.

Gdy kolej Karola Ludwika już była założoną, przyszło do założenia kolei Lwowsko-Czerniowieckiej.

Podał do niej ks. Leonowi pierwszą myśl Wiktor Offenheim.

Zpowodu osławionej sprawy Offenheima i zarzutów jakie podnoszono przeciw ks. Leonowi podajemy tu całe wyjaśnienie założenia tej kolei, o ileśmy takowego zdołali zasięgnąć z jego pamiętnika.

Wyjaśnienie to jest tem ważniejsze, że wskazuje na wielkie, światowe znaczenie tej kolei, jakiego nabraćby mogła, gdyby przedłużenie jej poszło w pierwotnie obmyślonym kierunku.

Ponieważ akcjonarjusze kolei Karola Ludwika, którzy mieli prawo pierwszeństwa do założenia jej, nie chcieli korzystać ze swego prawa, więc zaproponował Offenheim, aby w Anglji szukać kapitałów.

Książe Leon pojechał tam z hr. Włodzimierzem Borkowskim i Offenheimem.

Sapieha zawiązał najpierwej stosunki z p. *Glyn* reprezentantem znanego domu handlowego *Glyn Mills et Comp.*, z p. *Rate* prezesem banku otomańskiego, p. Brassey przedsiębiorcą budowy kolei żelaznych i p. *Mackleen* inżynierem parlamentu angielskiego i prezesem towarzystwa inżynierów angielskich. Przy konferencjach odbywanych z tymi panami, bywał zawsze adwokat *Drake*.

Projektowana kolej, wzbudziła u Anglików interes jedynie dla tego, że w niej upatrywali początek drogi wiodącej do Indji.

Traktowano też tę sprawę zaraz ze strony politycznej i dlatego to konferował o niej z ks. Leonem podsekretarz stanu w ministerstwie handlu: *Sir Emmerson Tennant*.

U niego w biurze, pisze Sapieha, stał ogromny globus, na tym globusie wyciągnęliśmy nitkę, trzymając jeden jej koniec w Londynie, drugi w Bombay. Nitka ta oznaczała najkrótszą drogę między dwoma punktami, a uwzględniając trudności gruntowe, przechodziła przez Drezno, Kraków, Lwów, Czerniowce, Ruszczuk, Warnę, jeden z portów Azji Mniejszej dalej dolinę Eufratu i spuszczała się istniejącą już koleją nad Eufratem do Bombay.

Gdyby ta kolej była wykonaną, możnaby nią w 8 do 10 dni stanąć z Londynu w Bombay. Sir Emmerson Tennant był argumentacją Sapiehy przekonany i musiał o tem mówić z ministrem *Milnerem Gibsonem*, bo w kilka dni po wizycie owej u Tennanta mówił Brassey Sapieże, że go minister w parlamencie gorąco namawiał, aby się podjął budowy kolei lwowsko-czerniowieckiej.

Były więc wcale dobre widoki, dla utworzenia tej linji, która mogła krajowi naszemu przywrócić jego dawne znaczenie i pośrednika w handlu między Europą i Azją.

Wybuch wojny włoskiej opóźnił cokolwiek sprawę, ale wreszcie podpisali Anglicy kontrakt.

Ciekawe jest jeszcze wyjaśnienie jedno jakie w pamiętniku Sapiehy się znajduje, co do wypuszczania w obieg pierwszych akcji przez założycieli.

W Wiedniu (zapewne w ogóle w Niemczech) biorą założyciele za swoje kapitały akcje po kursie niżej pari, wedle stopy jaką właśnie stosunki giełdowe wskazują.

Sam były minister *Banhans*, który był motorem procesu przeciw Offenheimowi, wziął akcje kolei, której był założycielem po kursie 55%.

Anglicy niechcieli przystać na ten sposób postępowania. Twierdzili oni, że brać akcje niżej pari, było to uznać towarzystwo za bankruta, jeszcze nim się zawiązało.

Żądali oni więc, aby akcje były policzone pierwszym biorącym *al pari*, na koszta założenia zaś aby policzyć pewną sumę, któraby pierwszym biorącym pokryła strata przewidziane na kursie akcji. Dla towarzystwa wychodziło to na jedno. Suma ta, kosztów założenia, wynosiła około 8%, tak, że założycielom przypadły akcje po 92%. Zostało nierozebranych 10.500 akcji reprezentujących kapitał 2,100.000 zł., które Sapieha wziąć musiał. „Mogę się mieć za szczęśliwego, pisze on, żem niestracił na tych akcjach więcej jak 30.000 zł.“

O tej działalności Sapiehy wypada nam tylko powtórzyć to samo, cośmy pisali przed laty dziesięciu. Przyszłość okaże dopiero, jak wielkiej wagi i doniosłości są te koleje w Galicji, do których inicjatywę dał Sapieha. Kiedyś, szczególniej gdy runą granice oddzielające nas od reszty ziem polskich, będzie kraj nasz zbierał owoce tego związku zachodu ze wschodem, a przez połączenie z Węgrami i Królestwem, może się stać zwrotnym punktem ruchu handlowego między południem i północą.

Wtedy dopiero uzna potomność zasługę Sapiehy w tej mierze.

Toż możnaby poprzestać na przedstawieniu tej jego działalności. Gdyby Sapieha nie zdziałał niczego więcej dla kraju, to już stanowiłby jego żywot jedną z najważniejszych kart w ekonomicznych dziejach kraju.

Ale był on powołany nie do tego tylko. Rok 1860 spowodował wejście Sapiehy na pole działania politycznego. (Dok. n.)

POLITYCZNE KARJERY

Opowiadanie z niedawnych czasów

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dokończenie).

Było to pod wieczór, w ogrodzie, a mianowicie w tej stronie, gdzie wycięte drzewa tworzyły cudowną bramę, przez którą był widok na łąkę zieloną i na wioskę. Trochę chat wieśniaczych wśród olszyn, tu i owdzie stare, rozłożyste grusze, w sinej oddali sterczały topole koło kościółka i białej plebanji, a nad tem wszystkiem dużo nieba. Cudny to widok, ale anachronizmem się wydawał, gdy się pomyślało, że gdzieś dalej pod tak samo uśmiechniętem niebem, wśród takich drzew odbywa się straszna tragedja wojny, że na murawach zamiast kwiatów sine trupy, zamiast spiewu ptaków, jęk umierających lub płacz matek. Panny były w ogrodzie, pan Eustachy pomagał im podlewać kwiatki. Pan Apoloniusz nieco się oddalił od towarzystwa, chodził tu i tam niespokojny, co chwila wyglądał ku bramie, gryzł paznokcie, skubał brodę. Czekał bowiem na gazety, on nie mógł żyć bez gazet, on, człowiek czynu, człowiek polityczny nie mógł żyć jak inni prywatni ludzie. Panny znały tę *nieszczęsną namiętność* do gazet pana Apoloniusza, dlatego zostawiły go jego boleści. Nagle wrzasnął pan Apoloniusz: „jedzie!“ i skoczył ku bramie. Po chwili wrócił pożerając gazetę oczami, a gdy doszedł do wiadomości z pola bitwy, począł wywijać rękami, targać brodę i włosy. Eustachy trwożny, czy przypadkiem jego towarzysz nie tego... skoczył ku niemu w aleję i spytał: co tobie?

— Źle, wszystko źle idzie, a nas nie wołają. Patrz W. przeszedł napowrót granicę. Okropny mój los! Niepodobna dłużej żyć w bezczynie, biali zdradzają. Dziś muszę napisać broszurę, która całą sprawę zmieni.

— Polciu! — zawołał przez okno syn gospodarza domu — daj pokój gazetom, może w preferka? co?

— Chodźmy! — rzekł ponuro Apoloniusz i zasiadł do zielonego stolika.

Wieczór napisał broszurę straszną, krwawą, gdzie wypisał, że się źle dzieje, że się niedobrze dzieje, że się lepiej dziać powinno, żeby się lepiej działo, gdyby w skład rządu weszły dawniejsze figury. (Pan Apoloniusz rozumiał tu siebie.) Na drugi dzień rano zawezwał syna gospodarza i wręczając mu pakiet rzekł:

— Z tym listem posłaniec ma natychmiast wyjechać i oddać na pocztę, ważny.

— Ależ Polciu, tatko dziś nie da ani koni, ani ludzi, bo robota w polu.

— List ten musi być wysłany — rzekł despotycznie Apoloniusz i wyszedł.

Młody, poczciwy syn gospodarza poskrobał się po głowie i pomyślał: Ha, kiedy tak ważny, to ja go sam zaniosę, bo ojciec koni nie da.

Poczciwina w spiekotę poleciał na pocztę. Za kilka dni broszura została wydrukowaną nakładem panny Sempronji i kilkadziesiąt egzemplarzy przysłano dla przyjemności autorowi. Gdyby autor znalazł we wszystkich tak gorliwych czytelników jak w sobie, los jego byłby zazdrości godny. Prawie wszystkie egzemplarze odczytał, jakby w każdym coś nowego znaleźć się spodziewał i ogromnie mu się podobała. Pan Eustachy wmówił w panie, że broszura ogromnej wagi i ogromnego wpływu. Tylko pana Łukasza nikt nie mógł przekonać.

— Ot, bazgrzecie i bazgrzecie — mawiał przy obiedzie — a to djabła warte. Kto wiele gada, temu nie wiele czasu zostanie na robotę. Kto wiele pisze o gospodarstwie, ten z torbami wyjdzie ze swej wioski. Bić się, to rozumiem, a pisemka o tyle dobre, gdy niemi kulę przybijesz.

Pan Łukasz był weredyk, pan Apoloniusz litował się w duszy nad jego prostactwem, nad brakiem sprytu politycznego. Ot, myślał sobie, szlachciura nosa ze wsi nie wychyli, w ziemi jak robak żyje, zkąd jemu poznać się na ważności broszur, na jej wpływie. To też on dwojako się na tem poznawał, za siebie i za pana Łukasza i tłumaczył Eustachemu, jak w gazetach widocznie widać ogromny wpływ jego broszury, jak wszystkie mówią za nim, że się źle dzieje, że trzeba żeby się lepiej działo, i tylko o urzędzie pana Apoloniusza nic nie pisali.

Rzeczywiście broszura pokątna pana Apoloniusza nie była bez wpływu, odjęła chęć do ofiar ludziom najlepszej woli, bo jakże tu dawać wszystko co się ma najdroższego, kiedy wszystko na nic, bo źli źle tego użyją, jak autor broszury mówi, a *dobrych* nie ma u steru? Za kim iść? przy kim prawda? Tak pytali się nawzajem znajomi pana Hilarego. Kto wykrył takie straszne rzeczy? Kto napisał broszurę? Nikt nie wiedział. A tymczasem pan Apoloniusz dalej mówił:

— Jeszcze jedna broszura, a sprawa stanie świetnie.

Szkoda, że los nie pozwolił mu napisać tej broszury i z łona *wsi spokojnej, wsi wesołej* wypchnął go w świat, gdzie kłębią namiętności, gdzie tyle intryg i płaczu. Rzecz się tak miała: Pan Łukasz wróciwszy raz od sąsiada przywiózł rozkaz rządu tajnego, aby młodzież do lat 30 stawiła się w szeregi. Ucieszony stary przyniósł ten rozkaz do domu i rzekł: Radujcie się, będzie dobrze, mam coś bardzo ważnego.

To rzekłszy nasadził okulary, rozwinął papier i głosem trąby wojennej począł czytać odezwę.

— A co? — spytał przeczytawszy.

Pan Apoloniusz z flegmą dłubał piórkiem w zębach, mlaskał językiem i po chwili odrzekł:

— Komedje, nie wierzę w polepszenie sprawy, dopóki nie wrócą do rządu ludzie, którzy byli w początkach powstania.

Stary zaperzył się:

— Idź pan do kroćset djabłów z uwagami, rozkaz jest i każdy młody iść powinien, bo żołnierz musi słuchać jak pies, a kto nie słucha i nie idzie ten tchórz i podły.

Rzekł i cały czerwony wyszedł do drugiego pokoju. Wpierw jeszcze odwrócił się do syna i rzekł:

— Adasiu, jutro pojedziesz zaciągnąć się w szeregi.

Po odejściu gospodarza towarzystwo nie wiedziało co począć z pomięszania. Panny i mama poczerwieniały ze wstydu z powodu gwałtowności taty, pan Przylepka zbladł, pan Apoloniusz lubo udawał spokój i ironicznie się uśmiechając bębnił grabkiem po talerzu, widocznie był zmięszany.

— Darmo, trzeba wyjeżdżać — pomyślał sobie.

Na drugi dzień rano Apoloniusz, Adaś i Eustachy byli na drodze do miasta.

Inną postać miało teraz miasto niż w chwili gdy je opuszczał nasz bohater. Ciągłe niepowodzenia, smutne wieści, niezgody do reszty osłabiły ducha i energię. Grabarski spokój panował w mieście, pod tą spokoju skorupą czasem coś zawrzało, zakipiało, buchło i znowu cisza. Pan Apoloniusz zdziwił się. Poszedł najprzód do panny Sempronji zasięgnąć miejscowych wiadomości. Tam się dowiedział, że się przygotowuje znowu jakaś zmiana rządu, że potrzeba tylko mieć za sobą mieszczaństwo, aby przeprowadzić tę zmianę.

— Nic łatwiejszego nad to — rzekł pan Apoloniusz — czuję już, że sprawa nasza stanie lepiej.

Z tą nadzieją pożegnał pannę Sempronję i poszedł do pana Hilarego. Wszedł do pokoju, gdy wtem przywitał go serdeczny głos:

— Walku! jakże mi się mas?

Pan Apoloniusz Demokracki struchlał, to był jego ojciec, kmieć ze Śreniowic.

Dajcie tu wody, lawendy dla panien o słabych nerwych, pomdlały pewne, gdy się dowiedziały, że bohater mój nie żaden zaczarowany w studenta książę, ale sobie po prostu chłopskiej kondycji. I pan Apoloniusz myślał, że się jego tajemniczość dochowa, ale niestety losy inaczej chciały.

Poczciwy ojciec, Grześ Kozieł, nie mając od syna długi czas żadnego pisania, a słysząc od księdza proboszcza o strasznych wypadkach, przestraszył się o los swego jedynego Walusia, pisał do niego kilka razy a nie otrzymawszy odpowiedzi wybrał się sam do miasta, by go odszukać lub się coś o nim dowiedzieć. Zaszedł do domu pana Hilarego, gdzie wiedział, że syn mieszkał. Panny i tattko lubo rozczarowane z uroku, jakim otaczały kolebkę swego ulubionego, jednak ujęci poczciwością starego, który mówiąc o swoim Walusiu, łzy miał w oczach, przyjęli go chętnie i parę dni u siebie zatrzymali, a tymczasem pan Hilary obiecał wywiedzieć się coś pewnego o panu Walentym. (Walenty! Apoloniusz! jakże straszna metamorfoza. Najwięcej nad tem ubolewała panna Pelagja.) Przypadek oszczędził trudów panu Hilaremu i sprowadził pana Walentego w objęcia ojcowskie. Walenty na serdeczny wykrzyk ojca, poczerwieniał, zmięszał się, począł bełkotać jakieś powitanie i szybko dając ojcu klucz do swego pomieszkania rzekł:

— Idźcie do mnie — teraz nie mam czasu, jestem zajęty. Ojciec wziął klucz, pokiwał smutnie głową, pożegnał państwa Hilarych i wyszedł.

Nie robię tu żadnych uwag nad synowskiemi uczuciami pana Apoloniusza Walentego, Kozieła Demokrackiego, łaskawy czytelnik sam tu sobie resztę uzupełnić raczy, ja spieszę do końca powieści.

Nasz bohater pozbywszy się ojca wrócił do dawnej roli Apoloniusza Demokrackiego i biorąc na bok pana Hilarego rzekł:

— Idzie o bardzo ważną rzecz, sproś pan więc na jutro naszych.

To powiedziawszy nie został już dłużej przy pannach. Tym razem już nie polityczne zajęcia, ale owo fatalne zdemaskowanie jego imienia było przyczyną, że pan Walenty niechciał dłużej pozostać w gronie panien, wśród których kiedyś tak tajemniczą grał rolę.

Gdy wyszedł, pan Hilary skrzywił nosem, pokiwał brodą.

— Oj, niedobry to człowiek ten pan Apo... Walenty. Kto ojca nie kocha, nie szanuje, ten cie nie kocha, nie szanuje.

Nie myślał więc całkiem zgromadzać na jutrzejszy wieczór swoich, by ich więcej nie bałamucił taki człowiek. Ale zaszedł do niego na wieczór pan Damazy garbarz i dowiedziawszy się o bytności pana Apoloniusza, wziął pana Hilarego na stronę i coś mu szeptał do ucha, pan Hilary przystał na coś i z tem rozeszli się. Panny choć miały delikatne uszka, nie mogły dosłyszeć o czem była mowa. Słyszały tylko jakieś groźby i zaklęcia, których lubiał używać pan Damazy.

Tego samego wieczora poczciwy Grześ siedząc obok syna opowiadał mu co słychać w Śreniowicach, jak cała wieś dopytywała się o niego, jak Jakubowej śniło się nie dobrze o nim it.d. Syn jednem uchem słuchał, drugiem puszczał, poważna jego głowa innemi myślami była zajęta. Czasem odpowiadał ojcu na zapytania, tłumaczył mu, że niepotrzebnie przychodził do miasta, że jemu się nic nie stało, ale ważne zajęcia nie pozwalały mu pisać. A gdy w końcu ojciec go zapytał: kiedy księdzem zostanie? czy daleko jeszcze do tego, pan Walenty wymijając pytanie udał wielki ból głowy i położył się. Dodać tu bowiem na dobranoc muszę, iż pan Apoloniusz, chciałem powiedzieć Walenty, utrzymywał listami ojca w błogiem mniemaniu, że dalej kończy szkoły.

Na drugi dzień było znowu zebranie u pana Hilarego, ale bez herbaty, natomiast całe towarzystwo miało poważną, ponurą postać i laski, zapewne do podpory. Ciężkie bowiem były czasy, ludzie zcięželi troskami, trzeba było *czemś* podeprzeć, aby nie upaść. Panny jak zwykle zajęły stanowisko wyczekujące.

Po długiej godzinie czekania wszedł pan Apoloniusz, skinieniem przywitał przytomnych, *przytomni* zaś przywitali go znaczącem milczeniem. Pan Apoloniusz stanął na stołku i zaczął: Obywatele, stało się w końcu oczekiwaniom naszym zadość...

— Z przeproszeniem pana — rzekł poważnie pan Damazy.

— Proszę mi nie przerywać — krzyknął zapalając się mowca.

— Cicho trutniu! — wrzasnął jeszcze głośniej Damazy i podniósł laskę dość grubą do góry.

Mowca zmięszał się, zeszedł ze stołu i zajął stanowisko obronne.

— Spokojnie, spokojnie panie Damazy — miarkowały go głosy.

— Dobrze, będę spokojny — i spuszczając kij zwrócił mowę do mowcy:

— Zanim pan wypowiesz, jak się stało zadość pańskim życzeniom, my powiemy, że naszym nie stało się zadość. Dopóty dzban wodę nosi póki się ucho nie urwie. Ufaliśmy panu dotąd, bo myśleliśmy, że mamy do czynienia z człowiekiem porządnym. Proszę mi nie przerywać, zaraz skończę. Nie cofaliśmy się przed żadną ofiarą, jakiej pan wymagałeś od nas, a gdy przyszło do roboty, pan się zręcznie wykłamałeś, a potem podle uciekłeś. Synowie nasi poszli i poginęli lub siedzą w więzieniu, a ty co urosłeś naszą pracą, chcesz nam jeszcze mydlić oczy. My panie nie durnie, których można zawsze za nos wodzić i nam się oczy otworzyły. Nie chcemy od pana poprawy, bo w nią nie wierzymy. Tchórz i podły, tchórzem i podłym zostanie. Chcemy tylko rachunków z pieniędzy, któreśmy wydali.

— Rachunki złożyłem, tam gdziem był powinien.

— Nie wierzymy, my chcemy żebyś się wyrachował — wołały coraz natarczywiej głosy.

— Rachunki spaliłem.

— Wyrachuj się! — krzyczano i panny z piskiem odskoczyły od drzwi, bo w tej chwili las kijów zakrył przed ich oczami postać zacnego pana Apoloniusza Demokrackiego i słychać było protestacyjny krzyk jego, który się czasem w bolesne jęki przeradzał.

Na tym bolesnym krzyku kończymy naszą powieść, tu bowiem skończyła się polityczna karjera mego bohatera. Mieszczanie bowiem nie zadowolnili się doraźnym sądem, ale zarazem zapowiedzieli mu powtórzenie podobnej porcji, jeżeli nie przestanie tumanić ludzi poczciwych.

Pan Apoloniusz wyrwawszy się z grubjańskich rąk mieszczuchów, wyleciał jak oparzony, przeklął swoją polityczną karjerę, zaprzysiągł sobie nie pracować więcej dla niewdzięcznej ludzkości, nie poświęcać sie dla niej. Odsunął się więc od wszystkiego! Ale cóż robić? Zostawał wprawdzie jeszcze jeden środek zrehabilitowania się, tj. wymarsz w szeregi, ale droga ta trudna i wcale niebezpieczna nie przypadła mu do smaku. Znikł więc na jakiś czas z miasta. Gdzie był? co robił? tajemnica głucha. Mówiono, ale tylko się domyślano, że pan Apoloniusz z cierpienia brnąc w cierpienie, z deszczu pod rynnę, zostawał gdzieś na wsi w roli nauczyciela domowego. Czy prawda? ja nie wiem, a nawet wątpię, by umysł tak silny, samodzielny mógłby się nagiąć do nauczycielskiego jarzma. To tylko wiem, że po dwóch latach spotkałem go w jednem biurze w roli miernego pisarka,

zwanego w języku niemieckim Tagschreiber, co się na polskie wyłożyć nie da. Widzimy więc, że pan Apoloniusz zawsze miał słabość do życia publicznego, ta strona jednak jego życia nas nie obchodzi, było ono zastosowane ściśle do praw i paragrafów rządowych i szło jak nakręcony zegarek. Kończymy więc powieść o bohaterze westchnieniem panny Sempronji: „Szkoda człowieka, zmarnił się, zwątpił w ludzi i w siebie".

KONIEC.

AWANTURNICZA WYPRAWA DO CHIWY

BURNABY'EGO

KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

IV.

O piętnaście mil za Irgizem, poczyna się piaszczysta pustynia Karakum (czarny piasek), po brzegu której wije się droga, wiodąca z Irgizu do Kazali, trzeciej z kolei twierdzy, zwanej jednak przez Moskali *Fortem* Nr. 1. Dla czego Kazala jest fortem Nr. 1. — zapyta czytelnik — kiedy jest trzecim? Z powodów politycznych. Wszystko to cośmy zwiedzili dotychczas, a więc Orsk, Karabutak i Irgiz, a nawet i część pustyni Karakumskiej Moskale wtłoczyli do dawniejszej swej gubernji Orenburgskiej, która tym sposobem, wskutek takiego przyrostu stała się większą od Francji. Ten malutki jen. Kryżanowski, któregośmy mieli przyjemność poznać, rządzi przeto większym obszarem aniżeli sędziwy marszałek Mac Mahon. Wskutek takiego wtłoczenia przypięczętowanego rządami p. Kryżanowskiego, stepy te kirgizkie stały się rodzimą, *karennoju*, jak Moskale nazywają, ziemią carską. Nikt już do nich rościć pretensji nie ma tytułu i nikt już spierać się o nie z Moskalami nie może. Wygląda to tak jak gdyby one w obliczu międzynarodowego, prawa uległy przedawnieniu. Są zatem dziedziczną carską ziemią. O mil dwadzieścia za Irgizem, niemal w połowie Karakumskiej pustyni (ale naturalnie na jej zachodnim brzegu) znajdują się słupy graniczne z dwugłowemi orłami moskiewskiemi, a tuż przy nich stacja pocztowa Terekli, mająca, oprócz swej zwykłej pocztowej czynności, zadanie pilnować te słupy. W Terekli kończy się przeto nowa Orenburgska gubernja, a rozpoczyna się Turkiestan, królestwo wielkiego chana, jen. Kaufmanna. Dziwna rzecz! — renegat Polak i renegat Niemiec służą Moskalom w ich tak zwanej cywilizacyjnej misji.

Porównywając te dwa państwa, państwo jen. Kryżanowskiego i państwo jen. Kaufmanna, pierwszemu oddać należy pierwszeństwo. Sprężyściej widocznie trzyma on swych podwładnych niż Kaufmann, który przesiąknięty ideami Dżengischana myśli jeno o zaborach, a na takie drobnostki jak administracja kraju, czasu przecie nie ma, skoro nadto wolne chwile musi poświęcać trosce o swe kieszenie. Zresztą najmniej go to pewno zaboli, gdy się dowie, że skutki jego lekkomyślnych rządów, opłacić musiał między innymi Anglik. Zaraz na pierwszej stacji w chanacie Kaufmanna o'azało się, że nie ma koni.

— Wymarły niebożątka — powiada z miną potulną naczelnik stacji.—Wymarły z głodu. U nas nie ma zwyczaju zbierać trawy w stogi na zimę, albowiem stepowe trawy są tak wysokie, że przebijają przez śnieg. Pasiemy więc konie w zimie na stepie, po śniegu. Ale w tym roku zbyt obfity śnieg wypadł i pokrył wszystką trawę. Nie było tedy czem karmić i poumierały.

— Więc pan jesteś zrujnowany?

— Ja? — nie. Elementarne nieszczęście i rząd musi mi zapłacić. Już to nie pierwszy raz, ot i przeszłego roku było tak samo i zaprzeszłego. Zawsze w zimie co najmniej połowa koni wymiera i rząd płaci. W tym roku na dwadzieścia kilka koni zaledwie mi sześć zostało.

— A jakąż kontrolę ma rząd, że konie rzeczywiście wymarły; że np. nie zostały sprzedane?

— Nasz *batiuszka* jenerał w takie rzeczy nie patrzy. On dobry ojciec. Wie, że każdy przecie żyć potrzebuje. Zresztą jaka może być kontrola. Wiadomo, że konie były, bo co lato odbywa się rewizja; a teraz koni nie ma, więc pomarły.

Ponieważ te sześć koni, których nie dotknęła elementarna klęska sprzedaży, były na służbie, to znaczy powiozły jakieś dwie spiewaczki francuskie z paryskich ostatniorzędnych *cafés chantants*, zamówione do Taszkientu dla zabawy oficerów moskiewskich; a ponieważ na powrót tych koni, Burnaby czekać nie chciał, przeto zaprzągnięto mu do sani trzy wielbłądy. Dla czego trzy, kiedy jeden wielbłąd mógłby te sanie równie dobrze ciągnąć? Dla tego, że biurokratyzm na całej kuli ziemskiej trzyma się litery a nie ducha ustaw i przepisów. Ponieważ *podorożna* Burnabyego opiewała na trzy konie, więc chociaż jeden wielbłąd spełniłby tę samą funkcję, zaprzągnięto jednak trójkę, aby liczbie *trzy* zadość uczynić.

„Widok tych trzech rosłych i niezgrabnych gruboskórców — pisze Burnaby — zaprzągniętych linami i powrozami do moich sani, które przy nich wyglądały jak łupina z jaja, był nieskończenie oryginalny. Na tysiące sposobów jeździłem w mojem życiu, wypróbowałem wszystkie wehikuły jakie istnieją, od welocypeda i biedy do balonu, od tratwy ciągnionej przez bawoły idące po brzegu do najwyższych parostatków, od konnej jazdy na krowie do używanej na Wschodzie lektyki, a jednak żaden sposób nie wydał mi się tak zabawnym i komicznym, jak ta trójka wielbłądzia, idąca noga za nogą i wlekąca za sobą lodziutkie sanie. Furman jechał konno na środkowym wielbłądzie, uzbrojony w długie biczysko, zastępujące w danym razie tradycyjny moskiewski *knut*. Po obu bokach harcowały, rownież noga za nogą, dwa mniejsze wielbłądy. Tak w godzinę ujechaliśmy pięć kilometrów. Nagle środkowy wielbłąd staje, klęka na przednie kolana, wskutek czego furman, który był zdrzemnął cokolwiek, robi przymusowe *salto mortale* w powietrzu, przelatuje przez głowę swego bucyfała i upada w śnieg, a wielbłąd z najzimniejszą krwią kładzie się na środku drogi. Wszystkie prożby, zaklinania i bicia nic nie poskutkowały. Wielbłąd odleżał swoje i nakoniec wstał, kiedy już mu zaczęło zimno dokuczać. Żeby jednak na przyszłość nie powtórzyła się znowu taka sama katastrofa, furman wziął się na sposób. Jednego z owych bocznych wielbłądów przyprzęgnął na przodzie. Odtąd już jechaliśmy bez przerwy w zaprzęgu, zwanym koń-przed-koń, a raczej wielbłąd przed wielbłądem."

Od następnej stacji, podróż znowu odbywała się końmi, jednakże chyżość jazdy nie o wiele była większa, z powodu, że w miarę posuwania się na południe, droga coraz mniejszą warstwą śniegu była pokryta. Wreszcie w pobliżu Aralskiego morza, trzeba było stanowczo zmienić sanie na wóz kołowy, albowiem śniegu prawie już nic nie było. Zdmuchał go wiatr stepowy.

Wszelako mróż nie o wiele zwolniał, a morze Aralskie na przestrzeni kilkunastowiorstwowej od brzegów, pokryte było grubą warstwą lodu. Okolica naga do koła, bezludna i bezdrzewna, na lewo od drogi Karakumoba pustynia, na prawo morze Aralskie, a właściwie jego północna zatoka, zwana Sari-Chaganak, dalej liczne moczary i bagna, skupiające się gdzie niegdzie w większe zbiorniki wód, w jeziora niemal tak wielkie, jak niektóre z szwajcarskich; grunt wszędzie tak przesiąknięty solą, że wody do ust wziąć niepodobna, i składający tem wyraźne świadectwo tego, że niedawne to czasy, kiedy on stanowił dno morskie; wreszcie w regularnych odstępach 25 kilometrowych stacje pocztowe, niskie, brudne, z kamienia i gliny ulepione; oto wszystko co zanotować może podróżny na przestrzeni między Tereklą a Kazali.

Zbliżając się jednak do Kazali, którą Moskale Kazalinskiem przezwali, dostrzegać się już daje pewien ruch, pewne życie, pewna cywilizacja. Przyczyną tego nie są naturalnie Moskale. Kazala istniała już wtedy i była jednem ze znaczniejszych miast Turkiestanu, kiedy o Moskalach w tych okolicach nikt ani z widu, ani ze słychu nie wiedział. Powodzenie swoje zawdzięcza ona temu, że leży niedaleko ujścia Syr-Darji do Aralskiego morza. Dawniej przed wojnami Turkiestanu z Moskwą liczyła ona pono kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców i była głównym składem handlu Turkiestanu z Chiwą. Na tratwach i łodziach spławiano po Syr Darji towary aż z Kokanu, Taszkientu i Turkiestanu, ładowano niemi okręta na Aralskiem morzu i odprawiano aż do ujścia Amu-Darji, gdzie znowu w Kungradzie przeładowywano na łodzie i tratwy, i po Amu-Darji rozwożono w głąb Chiwy, a nawet sięgano i dalej, do Afganistanu. Tym sposobem omijano Kizilkumską pustynię, rozścielającą się pomiędzy Syr-Darją a Amu-Darją.

W tem miejscu wypada czytelnikowi zajrzeć do mapy, inaczej nie zda sobie sprawy ze znaczenia handlowego, jakie mają i w przyszłości mieć mogą rozmaite wymieniane tu miejscowości, zwłaszcza jeżeli mu od czasów szkolnych nie pozostało nic z topografji Azji środkowej. A że mogło nic nie pozostać, to bardzo jest możebnem. Na ten bowiem zakątek ziemi szkolna nauka małą dotychczas zwracała uwagę. Uważała go jako coś, co nigdy w życiu Europy wielkiego znaczenia mieć nie będzie. Geografję Turkiestanu, Chiwy, Buchary i Afganistanu można się było uczyć chyba przez zamiłowanie do sztuki geograficznej, a nie dla potrzeby, nie dla tego, że te kraje jakąkolwiek rolę odgrywać mogą, że one mogą kiedykolwiek wpłynąć na losy Europy, zatrząść ją w jej posadach, wydobyć na światło dzienne nowe narody, i narody te uposażyć w potęgę taką, o jakiej się nie śniło nawet mocarstwom zachodniej Europy. Uczono nas szczegółowo topografji wszystkich małych księstw niemieckich jedynie chyba dla tego, żeby mózgi nasze przekształcić w żywe Almanachy Gotajskie, a pomijano milczeniem kraje takie, na których ziemi rozstrzygną się losy świata.

Stara geografja mogła jednak na usprawiedliwienie swoje przytoczyć to, że za jej czasów nie istniały koleje żelazne. Dopóki zaś morza

i oceany miały przywilej zbliżania odległości, dopóty naturalnie, nie warto było mówić o krajach, oddalonych o tysiące mil od brzegów. Ale dzisiaj morze zeszło z pola, odsunięte zostało na drugi plan, koleje zaś żelazne stanęły na pierwszym, a razem z niemi wysunięte zostały te kraje, o których nikt przedtem nie myślał. W prawdzie przemiana ta nie stała się nagle, właściwie nawet nie stała się dotąd; zaledwie jesteśmy w jej początku, zaledwie pierwsze dostrzegamy jej symptomata. Ale one wyraźnie się mnożą, potęgują, piętrzą się codziennie i tym, którzy umieją je badać, wskazują w jakim kierunku powędrują przyszłe pokolenia ludzkości.

Kierunek ten przed kilku już laty wytknął pewien dziennikarz francuski, obdarzony bystrym umysłem i szeroką fantazją. Wskazał on, że punkt ciężkości cywilizacji od czasu kolei żelaznych przenosić się zaczyna z zachodu na wschód, a stolica Europy położona obecnie nad brzegami Sekwany, przesunie się z czasem nad brzegi Wisły lub Dniepru. Miał on na oku polityczne znaczenie rozmaitych krajów europejskich i do takich doszedł wniosków. My zaś, mając na oku ich ekonomiczne znaczenie, do takiego samego dójdziemy rezultatu. Nie wiemy czy Warszawa stanie się stolicą Europy i odziedziczy po Paryżu wszystkie w spadku jego przymioty, ale to pewna, że w chwili, w której kolej żelazna zamiast utykać o stepy w Sizeranie, pójdzie dalej, przetnie Turkiestan, Chiwę i Afganistan, i połączy się z kolejami indyjskiemi, czekającemi na nią w Peszawarze, w owej chwili na ziemi polskiej zetkną się dwa światy: azjatycko-indyjski i europejsko-amerykański, zetkną się dwa handle połświatowe, spotkają się produkta dwóch półświatowych przemysłów i w punkcie swego zetknięcia się stworzą najwyższe ognisko cywilizacji. Kiedy to nastąpi?—zapyta czytelnik. Prawdopodobnie bardzo prędko,—prawdopodobnie my jeszcze doczekamy się tej chwili, kiedy to co powiedziane jest powyżej, a co dla niejednego z czytelników wydawać się może utopią, stanie się najpospolitszą i najrealniejszą prawdą. Nie wiele bowiem do tego potrzeba, kolei żelaznej z Sizeranu do Kazali i z Kungradu do Peszawaru. W obec tego co ludzkość dotychczas zrobiła, zbudowanie tych dwóch linji kolejowych nie przedstawia zgoła nic fenomenalnego. Kanał Suezki, most na Niagarze i tunel przez górę św. Gotarda będą zawsze wyżej stały od tak prostych operacji jak owe dwie koleje.

A jednak pomimo swej prostoty, one to właśnie przekształcą fizjognomję Europy, i większy przewrót wywołają w stosunkach handlowych niż kanał Suezki. Bodaj nawet czy go nie zabiją, a w każdym razie znacznie zredukują jego znaczenie. Któż bowiem wtedy zechce z Paryża lub Londynu puszczać na dwu miesięczne trwanie i niepewne szanse morskiej podróży siebie i swe towary, kiedy w przeciągu dni dziesięciu z wielką wygodą i kolejową punktualnością będzie mógł przez Warszawę, Orenburg do Kazali koleją, potem po spokojnem morzu Aralskiem statkiem do Kungradu, potem znów koleją z Kungradu przez Peszawar dojechać do Kalkutty.

Moskale już opracowują plany owych dwóch linji kolejowych, a podobno już na gruncie rozpoczęli studja nad linją z Sizeranu do Kazali. Gdy tę zbudują, natenczas druga linja, z Kungradu do Peszawaru powstanie sama przez się, samą logiką faktów, jako naturalne uzupełnienie pierwszej. A wtedy góry Hindukuszu staną się widzami walki dwóch szczepów, anglosaksońskiego i słowiańskiego. I bodaj czy nie lepsze będą miały widowisko niż ongi piramidy egipskie, kiedy patrzały na zapasy tej samej rasy anglosaksońskiej z rasą łacińską. Jaka będzie ta walka, czy sosu do niej przyprawi drugi Napoleon I, czy też rozstrzygnie się ona na bezkrwawem polu ksiąg kupieckich i bankierskich kas, tego dociekać nie będziemy. O prorocze laury nam nie idzie. Zadowolnimy się tem, jeżeli wskazaniem, jak ona jest bliską i jak do niej logicznie zmierzamy, wywarliśmy tak silne wrażenie na czytelniku, że postara się naprawić błędy starej szkolnej nauki i zajrzy do mapy ziem środkowej Azji. On zyszcze na tem, bo uzupełni swą geograficzną wiedzę, my zaś także, bo odtąd śmielej będziemy kroczyli naprzód, wiedząc że czytelnik z swą mapą zechce być naszym towarzyszem w podróży. (C. d. n.)

O BUDOWIE
LUDZKIEGO ORGANIZMU I JEGO ŻYCIU

przez

Dr. Gustawa Polińskiego.

(Dokończenie).

Mówiliśmy o warunkach tkwiących w samem ciele ludzkiem, oświadczyliśmy że wady w budowie tegoż ciała tak wrodzone jak i nabyte paraliżują czynność fizjologiczną, lub ją najzupełniej uniemożebniają.

Spojrzyjmy obecnie w otaczający świat, cóż my bierzemy z tego świata na nasze potrzeby życiowe. Powietrze to pierwszy pokarm nieodzowny dla życia. Skoro jego zabraknie, następuje śmierć przez uduszenie. Ta przejrzysta mieszanina gazów dostając się do płuc za pomocą ich ruchu zmienia się ciągle odświeżając krew naszą. Ono jest jednym z najpotężniejszych bodźców życia. Królestwo roślinne, zwierzęce i mineralne, toć olbrzymi magazyn z którego człowiek czerpie pełną dłonią.

Gdybym wziął jako przykład kawałek chleba, szczyptę soli i talerz mięsnej zupy, jużbym produkt roślinny, mineralny i zwierzęcy miał pod ręką do użytku.

Bez pokarmu czekałaby nas śmierć głodowa.

Człowiek źle żywiony chudnie, tkanka tłuszczowa w nim zanika, muskuły tracą siłę, umysł opanowywa pognębienie, człowiek ów jak roślina na jałowym posadzona gruncie drobnieje, więdnie, karleje.

Człowiek potrzebuje ciepła i światła. Temperatura krwi i soków, która w skutek spraw chemicznych, w skutek grzania w elementach organicznych zachodzącego wyrabia się, temperatura ta musi mieć odpowiednią skalę i wysokość, bo inaczej jest szkodliwą. Pod wpływem wysokiego gorąca krzepnie i ścina się białko, stanowiące przeważną część tkanek i organów, promienie słońca padające na głowę dziecięcia lub dorosłego człowieka mogą spowodować zbyt obfity przypływ krwi do mózgu i wywołać tak zwaną ostrą puchlinę kończącą się fatalnie, mogą wywołać zapalenie skóry na miejscach odkrytych. Zimno zamraża soki organiczne, pod jego wpływem obumierają całe członki jak to powszechnie wiadomo.

Średnia więc umiarkowana temperatura jest jednym z warunków naszego istnienia, a cóżbyśmy zrobili bez światła, na cóżby wtedy zeszedł zmysł wzroku, jakżebyśmy kierowali nasze kroki?

Człowiek, jak i każdy twór żyjący, wszystko bierze z otaczającej go przyrody. Nic niemasz takiego w ciele ludzkiem, coby się w naturze nie znajdowało. Węgiel, którego olbrzymie pokłady zalegają wnętrze ziemi, wchodzi w skład tkanek ciała, żelazo, którego rudy ręka górnika wydobywa, to żelazo znajduje się w krążkach krwi, i płynie przez mędrca skronie. Fosfor, soda, potaż, wapno, siarka, magnez, fluor, i tak dalej, wszystkie te pierwiastki chemiczne, wchodzą w skład tkanek cielesnych, kombinując się w najrozmaitsze związki.

Nic więc dziwnego, iż zasób materjałów jakie natura dostarcza, jest szeregiem warunków życia. Materja wszechświat składająca, i organizm ludzki z pierwiastków tej materji ukształtowany, posiadają pewne siły, pewne własności ściśle z materją związane i od niej nieodłączne. W pojęciu naukowem, ciepło, światło, elektryczność, magnetyzm są siłami fizycznemi. Piorun jest potężną iskrą elektryczną, promień słoneczny daje światło i ciepło, ziemia nasza, naokoło której przebiegają elektryczne prądy, jest olbrzymim magnesem.

W ciele ludzkiem również siły takie się znajdują. Wszakże skoro dotkniemy czoła, ono jest ciepłe, ciepła tego udziela mu krew dopływająca, wyrabia się ono w skutek procesów chemicznych zachodzących w tkankach. W ciele ludzkiem jest elektryczność, ona przebiegając po nerwach jakby po telegraficznych drutach, wprawia w ruch muskuły, pobudza do czynności wszelakie narządy. Siły otaczającego świata i organizmu, oddziaływają na siebie nawzajem. Bez tego ciągłego starcia, bez tych bodźców czynnych, nie możemy sobie wyobrazić zjawisk życiowych. Siła wszelaka, to ruch materji, to jej drganie, to jej praca—ona istnieje wszędzie, jest wszędzie, gdzie dziedzina materji sięga.

Dziecię, przychodząc na świat, posiada w całku drobnem wszystkie życiowe warunki, aby dalej egzystować, rosnąć i rozwijać się mogło, powietrze, po raz pierwszy wypełniające płuca, staje się pobudką, staje bodźcem wywołującym ruchy oddechowe.

Próżny żołądek dopomina się wnet pokarmu, dziecko instynktownie chwyta pierś karmicielki. Nieznane mu wrażenia światła, przeto go z początku znieść nie może, i zamyka oczęta, niemowlę przyzwyczaja się do nowych wrażeń, stosuje niejako do obcych przedtem warunków życia. Uczy się jeść, uczy chodzić, uczy patrzeć, słuchać, mówić, myśleć uczy.

Przyzwyczaiwszy się do tych wrażeń, my na nie nie zwracamy bacznej uwagi. Ruchy nasze swobodne, wykonywamy je wprawnie nie myśląc o tem. Doznając wrażeń światła stosujemy do nich oko, ujrzawszy jakiś przedmiot daleki również zastosuwujemy aparat wzrokowy, bez wysiłku nadstawiamy ucha na szmery, głosy, i dźwięki, rozpoznajemy biegle smak pokarmów, posuwając nawet ten zmysł do wysokiej doskonałości.

Silniejsze jakieś wpływy, tak przyjemnie jak nieprzyjemnie działające, również bezwiednie często skłaniają aby się od nich uchronić. Zamykamy oko przed rażącym blaskiem, zasłaniamy się dłonią od ciosu, staramy szybko przywrócić równowagę potknąwszy się, zatykamy uszy wobec huku lub wrzaskliwych nieharmonijnych dźwięków, odsuwamy ze wstrętem niesmaczny pokarm,

zasłaniamy nos skoro jakiś przykry odór razi zmysł powonienia. Czyli inaczej mówiąc, stosujemy się do tej natury, do tych warunków naszej atmosfery życiowej—przeciwstawiamy jej, chronimy się od szkodliwości wszelkich, przygarniamy z ochotą co przyjemne. Gdyby tych wrażeń zabrakło, czem byśmy byli — jakąś bryłą martwą wegetującą jak kamień. Odejmijmy człowiekowi pokarm, ciepło, światło, elektryczność, odejmijmy powietrze, nie dajmy wrażeń dźwięku... wszakże słyszeć, widzieć, oddychać, jednem słowem żyć nie będzie. Na odwrót pozostawiwszy wyż wymienione warunki przetnijmy żyły, i wypuśćmy krew, przebijmy sztyletem np. serce, zaciśnijmy silnie gardło, skaleczmy mózg, takie życie jest niemożebnem. Ztąd wypada 1o. Że do normalnego życia człowieka potrzeba właściwych warunków świata zewnętrznego; i 2o prawidłowo ukształtowanego ciałoskładu; 3o nienaruszenia harmonijnego związku organów i systematów całość organizmu składających; 4o prawidłowego oddziaływania organizmu na bodźce i wrażenia tak wewnętrzne jak zewnętrzne. Nad tym ostatnim punktem musimy się jeszcze chwilkę zastanowić. Wszakże głuchy nie słyszy, ślepy nie widzi, niemy nie mówi, paralityk chodzić nie może, nie czuje ukłócia szpilką, szczypania itd. Czyli w przytocznych tutaj przykładach organizm ludzki nie oddziaływa na bodźce. Dla czego, bo głuchy ma nadwerężony organ słuchu, chorobliwie zmieniony zmysł wzroku, niemy porażone struny głosowe, a paralityk odpowiednio wyrodnione nerwy czucia i ruchu. Ludzie ci nie są w stanie normalnym, ludzie ci są chorzy, upośledzeni od natury, mogą żyć, króciej lub dłużej, ale nie żyją prawidłowo.

Chory żołądek nie oddziaływa tak na spożyte pokarmy (które są bodźcem do jego pracy) jak zdrowy, źle trawi, a przez to i cały organizm się niszczy, mózg patologicznie zmieniany, nie odbiera wrażeń, nie myśli jak potrzeba, krew panienki cierpiącej na bladaczkę nie odżywia jej ciała należycie, ztąd osłabienia ogólne, wielka wrażliwość nerwowa, spazmy, płacz lub śmiech konwulsyjny i tak dalej. Ztąd dla normalnego życia dla *zdrowia*, które jest wyrazem organicznej harmonji koniecznem jest prawidłowe oddziaływanie i funkcje naszego ciała.

Więc czemże życie, zapytacie szanowni czytelnicy. Odpowiadam, że w zakresie cielesnym *„jest ono ciągłą pracą, ciągłym ruchem, nieustającą przemianą i przeróbką materjała tak z natury otaczającej zaczerpniętego, jak i w samym organizmie znajdującego się.* Co więcej, jest ono ciągłem *gromadzedzeniem się sił i wyzwalaniem takowych* w postaci ciepła, *elektryczności, ruchu muskułów i czynnościach każdego pojedynczego organu i cząstki*, tak *chemicznej* jak *fizycznej* lub *organizacyjnej natury*.

A myśl, zapytacie, a cała sfera tak zwanych duchowych, intelektualnych zjawisk, od czegoż one zależą, czem są? Dla czegoż ja czuję, że żyję, że jestem, że się poruszam, że myślę?

Rozbierając te kwestje wkroczyłbym w zakres psychologji i logiki, a to nie było przedmiotem mego artykułu, bo on jest popularną pogadanką fizjologiczną. Powiem tylko, że nauka w badaniach swoich doszła do tych pewników, iż bez zdrowego i należycie rozwiniętego mózgu nie masz zdrowej myśli i logicznego sądu, że bez systemu nerwowego, bez zmysłowych przyrządów nie masz wrażeń, bo paralityk nie czuje, ślepy nie rozpoznaje kolorów, głuchy nie rozróżnia dźwięków i t. d.

Człowiek z chorym mózgiem jest warjatem, z mało rozwiniętym kretynem lub idjotą.

Myśl przeto musi mieć materjalną podstawę, myśl czerpie zasoby z otaczającego świata, jak go czerpie krew, soki i tkanki naszego ciała. Na czynność umysłową wpływa nietylko stan całego naszego ciała, nietylko choroby mózgu, ale cierpienia żołądka, kiszek, wątroby, systemu nerwowego, choroby krwi, skóry, ale taki pokarm, który spożywamy, powietrze jakiem oddychamy, napój który pijemy.

Kawa, herbata, tytoń, wino, wódka, lekarstwa odurzające jak chloroform, eter, jak morfina, jadło podniecające, wszystko to modyfikuje myśl naszą. Znamy mózg, znamy czynności jego pojedynczych części, znamy drogi, jakiemi przechodzą wrażenia zmysłowe, wiemy że myśl posiada pewną szybkość, że można tę myśl kształcić pracą, kierować nawet odpowiednio jej polot nasuwając odpowiednie przedmioty, zadając pytania, ale jakim sposobem się ona wytwarza, *nie wiemy*. Czy nauka rozwiąże kiedyś tę zagadkę, odpowiedź zostawiamy przyszłości.

Są ludzie co drwią z badań naukowych, co tę mrówczą pracę wieków zbywają lekceważeniem. My pochylamy czoło przed majestem nauki, oddajemy cześć należną jej wyznawcom.

Długi szereg usiłowań i walki poprzedza dzień dzisiejszy. Wiedza postępuje naprzód pewnym krokiem, bo zdobyła silne i trwałe podstawy. Czy ludzkość traci co na tem, iż pozbywa się przesądów i mrzonek, czy jej moralność, jej umiejętność jej dobrobyt i szczęście szwankują? Nie, stokroć nie. Innem okiem spogląda mędrzec w te światy przestronne, niż dobroduszny prostaczek, niż sentymentalny marzyciel, dla którego gwiazda iskierką tlejącą, ziemia padołem płaczu i niedoli, a księżyc powiernikiem kochanków. Myśliciel... sumienny badacz przyrody, pojmuje jej wielkość, jej piękno, ocenia tajemne siły oczom profana ukryte. Człowiek rozumny wie o tem, że wobec wszechświata, on jest nicością, ale i potęgą zarazem, wie jako, żywioły groźne a silne zgnieść go w proch mogą, ale zarazem czuje, iż on gienjuszu siłą ujmie w karby hardą przyrodę i do celów swoich do użytku swego skieruje.

Przeto nie pada na twarz przed gromem ale buduje konduktory, nie klęka przed słońcem ale korzysta z jego dobroczynnych promieni lub się zabezpiecza od ich zgubnego wpływu, nie zapala na górach wiecznie tlejącego znicza, ale w piec lokomotywy, na rust szklannej huty rzuca tlejące zarzewie, i korzysta z niego stokroć więcej. Człowiek ów wie o tem, że życie nie wieczne, że ono się skończyć musi, dla tego wypełnia je zajęciem, pracą, a zdrowie dla tego życia niezbędne pielęgnuje. Człowiek ów żyjąc w społeczeństwie wyrobił sobie pojęcie o obowiązkach obywatelskich, kocha ziemię co go żywi, odziewa i karmi, kocha istoty jemu podobne, ludzi, współbraci, współobywateli. W jego umyśle króluje idea, co jako nić przewodnia wiedzie go śród burz dziejowych, wiecznym pochodem ku prawdzie, pięknu i dobru. Cóż więc szkodzi, że człowiek ten jest maszynką organiczną — kiedy jej czynność tak wielkiego i doniosłego znaczenia?

Czy nauka ma ulegać głosom dylletantów i cofnąć prawdy jakie zdobyła.

Sąd o tem pozostawiam czytelnikom.

Cieniom Zygmunta.

Senny, zimny, pod zimnem sklepieniem
Snem już wiecznym spisz mężu proroczy,
Śmierć zaćmiła promienne Twe oczy,
Usta spiewne zamknęła milczeniem,
A tak rzewnie kochana, przy grobie,
W wdowiej stoi ojczyzna żałobie!

I rok rocznie, na wieko twej trumny
Łza boleści Jej spływa serdecznej,
Ale żal ten wspomnieniem Twem dumny
Jest, podobnie jak promień słoneczny,
Choć mgłą ziemska go mroczy tęsknota,
Pełen ciepła — przyszłego żywota!

Bo gdy w ciemne nicości otchłanie,
W proch padają tej ziemi wielkości,
Duch natchniony wiary i miłości
Z prochu z jasnym sztandarem powstanie.
O powstanie! i nad mrok mogilny
Wzleci święty!... zwycięzki... i silny!

Toż gdy gorżko przy grobie tym spyta
Głos zwątpienia, ta słabych potęga,
Gdzie ta przyszłość chmurami zakryta,
W którą jego proroczy wzrok sięga,
Którą wieńczy tryumfu koroną,
Gdzie duch który opuścił to łono?

... Gdzie?... o wtenczas niech płonie szyderca,
Bo z zapałem mu wiary niezłomnej
Wszystkie polskie odpowiedzą serca:
Duch ten żyje! bo wiecznie przytomny
Walkom naszym, ofiarom i trudom,
Co wybranym sądzone są ludom!

On w zachwycie wieszczego widzenia
Na dziejowych ludzkości wyżynach,
Ujrzał Polskę pod krzyżem zbawienia
W zakrwawionych męczeństwa wawrzynach,
Promienistą wszech ludom królową,
Co zaklęcia zwierzyła mu słowo.

On to słowo w cudne odział pieśni,
Które wielką potęgą natchnienia
Z smutnej grobu wywiodły nas pleśni,
I wciąż wiodą wśród nocy zwątpienia,
Nieomylnym zwycięztwa pochodem,
Bo jak prawda z niebiosów są rodem.

On nastroił pierś nowych pieśniarzy,
Myślicieli głębokie badania,
Znieważonych cześć podniósł ołtarzy
I ukazał „Przedświt" Zmartwychwstania!
Więc nie zginął! bo o swojem życiu
Świadczy w silnem serca Polski biciu!

O Zygmuncie! gdy mgła ta żałoby
Pierzchnie z naszej źrenicy i skroni,
Gdy się słońce swobody odsłoni
Dniem wieczystym wschodzące nad groby,
Pieśni Twojej wielkie czarnoksięstwo,
Ducha twego to będzie zwycięztwo!

Warszawa 22. Lutego 1878.

Marja B.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

O drugiej kazałem chłopców ubierać, o trzeciej wyruszyliśmy z domu. Dosyć trudnem było zadaniem trzymać i bukiet Charleja i obu chłopców za ręce, żeby wyrwawszy się nie wpadli do rowu w pogoni za motylem, lub między żywopłoty za konikiem polnym; jednak podołałem jakoś temu wszystkiemu. Zbliżając się już do dworku p. Clarksow czułem, że mi się kapelusz zsunął na jedno ucho, a krawatka przekręcona była na bakier, nie mogłem przecież poprawić tego nieładu w ubraniu, bo z daleka juz widziałem Alicją na werandzie, i czułem że ona mnie również spostrzegła. Dałem bukiet w rączkę Charlejowi, i obiecując mu trzy laski cukru owsianego, jeżeli go nie upuści na ziemię, wszedłem z nim i Edwardkiem do ogrodu. Ledwie znaleźliśmy się za furtką, Charlej ujrzał jakiegoś człowieka idącego przez ścieżkę z kosiarką gazonową, „Oh! będzie trawa leciała!“ — zawołał, i puścił bukiet na ziemię nie oglądnąwszy się nawet za nim; szczęściem ja go chwyciłem jeszcze w powietrzu, malca porwałem za rękę, pociągnąłem na ganek, i kazałem mu podać bukiet Miss Mayton. To mu się jakoś udało, ale gdy ona chciała go pocałować na podziękowanie, wyśliznął się jak węgorz, zakręcił w miejscu, i zniknął z werandy, rzuciwszy „Hurra! chodź za mną!“ na wezwanie bratu. W chwilę później obaj moi siostrzeńcy postępowali w przyzwoitej odległości za „nożem na trawę,“ a ja śmiejąc się mówiłem Miss Alicji:

— Oto dzieci mej siostry, najgrzeczniejsze pod słońcem!

— Niech używają swobody!—zawołała Miss Mayton; — aż miło widzieć dzieci co niemi być umieją.“

— Tak — odrzekłem—jeźli się nie ma obowiązku czuwania nad niemi. Co do mnie, pewny jestem, że gdybym taką czułą pieczołowitość, jaką otaczam tych chłopców, poświęcił interesom mego pryncypała, uznał by mnie on za nieocenionego człowieka.

Miss Mayton dała mi jakąś dowcipną odpowiedź, i wesoła rozmowa potoczyła się o książkach, obrazach, muzyce, i ploteczkach sąsiedzkich. byłbym chętnie rozbierał z Miss Mayton system Herberta Spencera, Tablice assyryjskie, lub jakikolwiek najoschlejszy przedmiot, i jeszcze czułbym się stokrotnie wynagrodzonym, li tylko przyjemnością patrzenia na nią. Piękna, sprytna, panująca nad sobą, zawsze gustownie ubrana i ożywiona, nie miała ona ani cienia tej czczej pozłoty i zalotności lub przybranej obojętności, cechującej zwykle kobietę światową, tak zwaną „woman of fashion;“ to też mimowoli wzbudzała coraz większy podziw z każdą chwilą, i do najwyższego szczytu mogła rozbudzić uczucie. Ale niestety! ja widać nie zasłużyłem na dłuższą przyjemność cieszenia się jej widokiem i rozmową, bo los mi wkrótce to szczęście odebrał. W dworku pana Clarkson mieszkało przez lato jeszcze kilka innych pań i panien, a gentlemani byli dość rzadkiem zjawiskiem w Hillerest. Zdarzyło się więc że wszystkie panie, zapewnie przypadkiem jedynie, zebrały się wkrótce na werandzie; każdej z nich zostałem przedstawiony, i bez uszczerbku najprostszej grzeczności, nie mogłem częściej odzywać się do Alicyi Mayton, niż do innych dam obecnych. W każdym innym razie byłbym się czuł uszczęśliwiony tak licznem towarzystwem pań, ale dzisiaj...

Naraz krzyk jakiś przeszywający dał się słyszeć od strony alei;—wszystkie panie porwały się na nogi. Poszedłem za ich przykładem, zacinając zęby z gniewu a trochę i z niepokoju pocieszając się przecież nadzieją, że choć widocznie wypadek jakiś znów musiał spotkać moich siostrzeńców, zapewne jednak nie było to nic tak ważnego. Wkrótce ujrzeliśmy Charleja biegnącego ku nam z jedną rączką wpakowaną do buzi, obok niego pędził Edwardek, wołając:

— Biedny mały Charley! Cisio, cisio, nie płacz! Czy cię to strasznie boli? — Uspokój się, wujcio Harry na to poradzi. Tylko nie płacz, biedny mały Charlu!

Obaj chłopcy dobiegli do werandy, wdrapali się na schody, i Edwardek wypowiedział jednym tchem:

— Oh, wujciu Harry, Charley włożył paluszek między kółka *noża na trawę*, i kółko obróciło się troszenieczkę, i ukąsiło go w paluszek!

Ale Charley pobiegł prosto ku mnie, objął moje kolana rączkami, i zaczął łkać głośno:

— Chcę o kotkach!...

Krew w żyłach mi się ścięła. Byłbym go był chętnie udusił w tej chwili, mimo że mi go żal było że cierpiał. Schyliłem się do niego, pieściłem, obiecywałem mu cukierki, wyciągnąłem zegarek z kieszeni i dałem mu się nim bawić... nic nie pomagało, powracał ciągle do swego dziwacznego żądania. Jedna z pań podjęła się obwiązać mu rączkę, i w duchu błogosławiłem ją już za to, ale uparty malec szlochając powtarzał ciągle swoje obrzydłe: Chcę o kotkach?..

— Cóż on chce powiedzieć?—spytała Miss Mayton.

— Chce żeby mu wujciu zaspiewał piosenkę o kotkach; – objaśnił Edwardek—jemu to zawsze pomaga gdy tylko sobie co zrobi.

— O, zaśpiewajże mu to, panie Burton — prosiła Miss Mayton, a za nią wszystkie panie zaczęły powtarzać: „zrób to pan, zrób!“

Rozpaczliwie porwałem go na ręce, i zacząłem mruczeć nutę znienawidzonej piosenki.

— Siądź w fotelu na biegunach — szlochał Charley.

Usłuchałem — dręczyciel mój zauważył.

— Nie śpiewasz słówek—chcę słówek!

Zacząłem wymawiać słowa jak mogłem najciszej, chyląc usta do jego ucha.

— Spiewaj głośniej — wrzasnął.

— Nie umiem dalej, Charley'u — rzekłem z odwagą rozpaczy.

— O ja ci powiem wszystko — ofiarował się usłużny Edwardek. I musiałem wobec takich słuchaczy, wobec niej nadewszystko! śpiewać tę śmiesznie głupią kołysankę, od końca do końca, jak mi ją dyktował Edwardek. Zęby miałem ścięte, czoło zmarszczone, i wlepiłem oczy w Charley'a z dzikiemi myślami w głowie. Nikt się nie roześmiał—byłem tak nerwowo rozdrażniony, że czyjś chichot w tej chwili byłby mi prawie ulgę przyniósł. Nareszcie usłyszałem jak ktoś szepnął po za mną:

— Patrzcie jak on go kocha! Biedny człowiek! jest prawdziwie w rozpaczy nad tym malcem.

Zdaje mi się, że gdyby piosenka sama przez się w tej chwili nie skończyła, byłbym Charley'a cisnął o kamienną posadzkę ganku. Tak jak było, postawiłem go tylko na nogi i oświadczyłem, że musimy już wracać do domu; matka Miss Mayton chciała nas zatrzymać na obiad.

— Co do mnie, byłbym bardzo szczęśliwy łaskawa pani — odrzekłem — ale siostrzeńcy moi są jeszcze zupełnie nieucywilizowani pod względem zwyczajów towarzyskich, więc wątpię czy moja siostra rada by była, gdybym im pozwolił być na obiedzie w liczniejszem zebraniu.

— Ja sama podejmuję się ich pilnować — zawołała wesoło Miss Mayton; „zobaczy pan jak będą grzeczni pod moim dozorem!

— Nie byłbym o tyle niepoczciwym, żeby dać pani spróbować tej przyjemności, Miss Mayton. — Lecz ona nalegała, a słodycz poddania się jej woli była tak wielką, że byłbym się ważył nawet na większe jeszcze niebezpieczeństwo. Więc przy obiedzie, Alicja zasiadła między Edwardkiem z jednej strony, a Charley'em z drugiej strony. Mnie na szczęście wypadło miejsce naprzeciw niej, mogłem więc patrzeć na nią, i obiecywałem sobie, że w potrzebie będę się mógł spojrzeniem lub znakiem ostrzegawczym porozumieć z dziećmi. Podano zupę. Dałem znak chłopcom, żeby związali serwetki pod brodą, i chciałem rozpocząć rozmowę z moją sąsiadką z prawej strony. Ona grzecznie się do mnie zwróciła, ale myśli jej widocznie były czem innem zajęte; idąc za kierunkiem jej wzroku spostrzegłem, że młodszy z moich siostrzeńców już schwycił swój pełny talerz w obie rączki, podniósł go, i położywszy główkę na stole, oczka wywracał w górę. Nie śmiałem zawołać na niego z obawy, aby nie upuścił talerza. Naraz podniósł głowę, na usteczkach jego zaigrał anielski uśmiech, talerz zaczął się chwiać i trząść w jego niepewnych rączkach, dopóki wreszcie, część zawartego w nim płynu, nie schroniła się między fałdy świeżej białej sukienki Miss Mayton, a winowajca zawołał z radością:

— Oh jest, jest żółwia skorupka na mojej miseczce! patrz Edziu, jest żółw na mojej miseczce!

Edwardek już także miał podnieść swój talerz, gdy spotkał moje wejrzenie i zaniechał zamiaru. Biedna Miss Mayton wyglądała po pierwszy raz w życiu doprawdy zmieszana. Wkrótce jednak przyszła do siebie, i z prawdziwie chrześcijańską cierpliwością i wyrozumieniem, zajmowała się przez resztę obiadu tymi nieznośnymi malcami. Gdy już deser zebrano ze stołu wysunęła się pospiesznie na chwilę, a ja uprowadziłem Charley'a w odosobniony kąt werandy, aby mu dać nauczkę, która go pobudziła do rozbeczenia się na cały głos. Wtedy zacząłem go znów na gwałt uspakajać pieszczotami, aby coprędzej zniszczyć skutek moich morałów. Potem on i Edwardek odbiegli znów do alei, a ja czekałem na ukazanie się Miss Mayton, dla pożegnania jej, i przeproszenia za niezgrabność Charley'a. Było zwyczajem pań mieszkających u p. Clarkson, że zwykle po obiedzie wychodziły używać pięknych spacerów, jakich dostarczała okolica, i wracały zmrokiem dopiero; i tego też wieczora oddalały się zwolna dwójkami lub trójkami, zostawiając mnie samego do moich projektowanych przeprosin. Prawie nierad byłem, że się rozeszły; nie było rzeczą przyjemną odpowiadać za niegrzeczność moich siostrzeńców, przykre więc oczekiwanie na ową chwilę byłbym wolał przynajmniej skrócić rozmową. Zdawało mi się, że Miss Mayton nigdy się już chyba nie pokaże; przywołałem nawet chłopców do siebie, byleby mieć do kogo zagadać.

Nareszcie ukazała się moim oczom i w tej chwili błogosławiłem gorąco Charley'a, i tę zupę, którą rozlał tak niezgrabnie. Nigdym jej jeszcze nie widział tak piękną. Podjąłbym się raczej zapłacić cenę najdroższej sukni, niż opisać tę, którą Miss Mayton miała teraz na sobie; mogę tylko powiedzieć, że tak dobór kolorów jak wykonanie przypadało właśnie do rodzaju jej twarzy, która to twarz po raz pierwszy w tej chwili wydała mi się czemś więcej niż tylko miłą i rozumną. Być może, że to słuszny gniew za przestępstwo Charley'a, objawił się tym niezwykłym rumieńcem na licach i żywszym blaskiem oczu. Wyglądała z tem ślicznie i wspaniale i zdawało mi się, żem dostrzegł jak twarz jej rozjaśnił jeszcze promień zadowolenia, na mój mimowolny okrzyk podziwu za jej zjawieniem się. Przeprosiny moje przyjęła z wdziękiem królewskim; potem, zamiast oświadczyć chęć przyłączenia się do tamtych pań, czego się przed chwilą spodziewałem, usiadła na jednym z foteli werandy. Łatwo się domyśleć, że nie długo dałem się prosić, żeby zająć miejsce na drugim, dzieci powinny były być w łóżkach już od pół godziny, ale moje poczucie obowiązku opiekuna, znikło bez śladu za ukazaniem się Miss Mayton. Chłopcy cofnęli się byli w odleglejszy kąt ganku i tam na wszystkie sposoby próbowali cierpliwości olbrzymiego, czarnego Newfundlanczyka, a ja, najszczęśliwszy człowiek na ziemi, rozmawiałem z czarodziejką siedzącą naprzeciw mnie i używałem rozkoszy patrzenia na jej promienną piękność. Mrok spadał i gęstniał cichy, ale wyobraźnia nie dawała się rozwiać zjawisku. Gdy na niebie srebrno zapłonęły gwiazdy wieczora, głosy nasze przeszły niepostrzeżenie w coraz niższe tony, a szept jej mowy dźwięczał najczystszą harmonią. A jednak nie mówiliśmy nic takiego czegoby świat cały wraz z nami słuchać nie mógł. Panie wracały powoli z przechadzek; ale czy wiedzione instynktem kobiecym, czy może w odpowiedź na moje gorące choć nie wyrażone słowami modły, wszystkie mijały nas z daleka i wchodziły do domu. Czułem w sobie dziwną mięszaninę rozpaczliwej odwagi i tchórzostwa, Postanowiłem wypowiedzieć jej wszystko, a jednak na myśl tę obejmowała mnie trwoga straszliwsza, niż kiedykolwiek w pierwszej chwili utarczki.

Naraz mały cień jakiś zaszedł nas z tyłu, wsunął się między nas, i odezwał się głosem Edwardka.

— Wujcio Hary posądza panią Miss Mayton.

— Posądza mnie? i o cóż to, proszę? — zawołała młoda lady szczypiąc białymi paluszkami twarzyczkę mego siostrzeńca.

— Edwardku! — zawołałem czując, że głos mój podniósł się niemal do krzyku — Edwardku, bardzo cię proszę!

— Mów, mów Edwardku — śmiała się Miss Mayton. — Pan zna dawne przysłowie. Dzieci i obłąkani mówią prawdę! O cóż on mnie posądza, Edwardku?

— Nie, nie posądza. Wujcio panią odważa.

— Co, odważa? Edwardku zmiłuj się co ty pleciesz?

— Nie, nie odważa, tylko uważa.

— I za cóż to mnie twój wujcio uważa?

— Kiedy to jeszcze nie to słowo co wujcio powiedział; to jeszcze inaczej. Wiem wszystko co to znaczy, bom go się pytał. To jest gdy kto o kim myśli, że to osoba miła, najmilsza, i że z nią mu najprzyjemniej rozmawiać, i że...

— Siostrzeniec mój chce powiedzieć, że panią poważam, Miss Mayton — przerwałem bojąc się tego coby mógł w dalszym ciągu powiedzieć, — Edwardek ma straszną zdolność zadawania pytań i w odpowiedź na parę z tych jego pytań dziś rano, starałem mu się wytłumaczyć istotę poważania, jakie gentlemen winien jest młodej lady.

— A tak? wiem wszystko co to znaczy. Tylko wujcio Harry sam to słowo nie dobrze mówi, bo co on nazywa, poważać ja nazywam *kochać*.

Była chwila niezręcznego milczenia, zdawała się trwać wiek cały. Och! te najgrzeczniejsze dzieci pod słońcem!! Nie mogłem znaleźć sposobu odwrócenia rozmowy, ale dziwniejszem było, że i Miss Mayton tego nie potrafiła? Milczenie przedłużało się w nieskończoność. Trzeba już raz było cośkolwiek z tem zrobić, mogłem przynajmniej być szczerym, tak; niech co chce z tego wyniknie, będę względem niej szczerym.

— Miss Mayton, wysłuchaj mnie pani — rzekłem bardzo prędko choć poważnie i całkiem stłumionym głosem.

— Edwardek jest tylko małem dzieckiem, niemniej prawdziwie jednak wytłumaczył sobie to wszystko. Ale jakikolwiek ma być mój wyrok, nie myśl pani, że miłość moja powstała nagle, pod wpływem kilkudniowych wakacyj i widzenia cię ledwo parę razy: uczucie moje trwa już od wielu miesięcy. Jestem...

— Ja chcę mówić trochę — przerwał mi tu Edwardek. Wy ciągle sami mówicie a mnie nic nie dacie powiedziec. Ja robię inaczej jak wy: gdy *ja* kogo kocham, to go zaraz całuję.

Miss Mayton drgnęła lekko, myśli moje goniły się z nieopisaną szybkością: Ona nie odwróciła rozmowy, nie było to podobnem do niej, żeby nie potrafiła. Gdybym ją był rozgniewał, umiałaby to była pokazać. Więc chyba... o! czyż miałem wierzyć memu szczęściu?

Niemal mimowolnie pochyliłem się nad nią, i postąpiłem podług wskazówki Edwardka. Pozostała nieruchoma, więc po raz drugi przycisnąłem usta do jej marmurowego czoła... Zwolna podniosła głowę i wtenczas dojrzałem, wbrew cieniom i mrokom, że Alicja Mayton poddała się na łaskę i niełaskę. Ująłem jej rękę w obie dłonie i powstawszy, ofiarowałem Panu Zastępów goręt-sze modły dziękczynne, niż te jakie dotąd słyszał odemnie kiedykolwiek w kościele. Wtem znowu głos zabrał Edwardek — Ja także chcę cię pocałować — i ujrzałem jak moja dumna Alicja chwyciła malca w swoje objęcia i zaczęła go pieścić z takiem wylaniem czułości, jakiegom się nie spodziewał w jej naturze.

Po nim i Charley otrzymał parę tkliwych oznak przebaczenia, nie śmiem pomyśleć, aby one były oznakami wdzięczności.

Nagle dwie czy trzy pań zjawiło się na werandzie.

— Chodźcie chłopcy — rzekłem. — A więc Miss Mayton, stawię się jutro o trzeciej z powozem. Dobranoc.

— Dobranoc — odrzekł najsłodszy głos w świecie. — Będę gotowa na trzecią.

(C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Genewa 7. lutego 1879 r.

(*Francuska historyczna literatura. Vauban. Odtwarzanie starożytnej francuskiej mowy. Dzieła dotyczące Szwajcarji. Historja Tain'a, zdanie o niej pani Léo. Biograficzne szczegóły o Taine'ie. Wielkie dni rzeczypospolitej, przez Eugeniusza Razona. Pobyt Razona w Genewie. Le secret du roi, księcia de Broglie'go.*)

Francuska historyczna literatura wzbogaciła się w zeszłym roku kilku ważnemi dziełami i rozprawami. Wielka francuska rewolucja znalazła nowego dziejopisarza w Henryku Taine'ie; sympatyczna autorka historji rewolucji 1848, Marja de Flavigny hr. d'Agoult pisząca pod pseudonimem Daniela Sterna, wydała 3ci i ostatni tom tej historji; opisowi ostatniej komunalnej rewolucji poświęcili zdolnę swoje pióro: Lissagaray i Artur Arnold. Przed samym niemal nowym rokiem wyszła obszerna *Historja Rzymian* (L'Histoire des Romains) znanego historyka, Wiktora Duruy'ego, ze 150 drzeworytami, 6 mapami i 3ma kolorowanemi tablicami. Henryk Martin ogłosił *Historję Francji* (Histoire de France) o rozwoju jej rewolucyjnym i porewolucyjnym. tj. od 1789 r. aż do naszych czasów. Oprócz tych dzieł ogólniejszej treści pojawiło się kilka ważnych monograficznych rozpraw, z których wymienię: *La jeunesse d' Elizabeth d'Angleterre* (Młodość Elżbiety Angielskiej) przez Ludwika Wiesner'a i *Histoire de Vauban* (Historja Wauban'a) przez Jerzego Michela. Sebastjan Vauban, genialny inżynier i strategik XVII w., który posunął do wysokiego stopnia sztukę oblężeń i fortyfikacyj, stał się w ostatnich czasach coraz częstszym przedmiotem studjów, atoli nie z powodu dzieł swoich militarnych, lecz z powodu głębokich ekonomiczno-społecznych poglądów. Uprzedził on bowiem całe stulecie w pojęciach o potrzebie równości powszechnej i zastanawiał się szczerze nad sposobami usunięcia nędzy klas pracujących. Należy wspomnieć także o beletrystyczno-historycznem opowiadaniu o nocy św. Bartłomieja, napisanem przez genewskiego autora, Du Bois'a. Autor wkłada to opowiadanie w usta Mikołaja Muss'a, dworzanina admirała Coligny'ego, naśladując podobno znakomicie wszystkie archaizmy ówczesnego języka. Opowiadanie więc jest pod pewnym względem utworem wyobraźni, ale autor dołączył do niego noty historyczne i plany, które mu dają też i naukowe znaczenie. Tytuł tego dzieła: *Le récit de Nicolas Muss, serviteur de M. L'amiral, épisode de la St. Barthélemy.*

Zauważmy tutaj, że chęć odtworzenia starożytnej francuskiej mowy pojawiła się nietylko w Genewie, ale i w Paryżu. Właśnie świeżo wyszło tłumaczenie *Piekła* Dantego, wykonane wierszem przez znakomitego filozofa i lingwistę, Emila X. Littré'go. Włoska mowa Dantego przeistoczoną została we współczesną jej francuską. Littré w przedmowie usprawiedliwia tę pracę następującemi słowy: „Zachęcić w sposób nowy do badania naszego strarożytnego narzecza, oto korzyść, która mię pociągnęła do odtworzenia Dantego w starożytnej, współczesnej mu francuskiej mowie korzyść, jeśli chcecie, mała, ale, podług mego przekonania, realna. Uczeni spisują swój testament; studjum powyższe jedno z moich ulubieńszych, jest także zapisem pewnego rodzaju.“

Wracając do historji, wymienię jeszcze

*

kilka dzieł, poświęconych Szwajcarji i Genewie. Aleksander Daguet przerabia na nowo *Historję konfederacji szwajcarskiej* (Histoire de Confédération Suisse). Właśnie niedawno pojawił się pierwszy tom, doprowadzający wypadki aż do reformacji. Jest to siódme wydanie. Wyszła także krótka historja Genewy. Abrégé de l'histoire de Genève), napisana przez Ch. Thorens'a. Wreszcie Galiffe starał się odtworzyć życie genewskie w czasie 1789—1816 r. w dziełku swojem noszącem tytuł: „Z jednego do drugiego wieku“ (D'un siécle à l'autre).

Historja Tain'a (Les Origines de la France), której wyszedł już drugi tom, zdobyła wielki rozgłos w całej Europie. Pan Kazimierz Jarochowski zapoznał naszą publiczność dość szczegółowo i dokładnie z tem dziełem, zamieszczając o niem sprawozdanie w warszawskiem *Ateneum*. Lubo już z pierwszego tomu można było widzieć, że Taine, rozmiłowany w angielskim społecznym ustroju, nie bardzo życzliwe żywi uczucia dla rewolucji francuskiej, to wszakże niepodobna było przypuszczać, żeby autor, znany z pozytywnej swej metody, dał się tak unieść reakcyjnym prądom, jak to widzimy w drugim tomie, a pierwszym części zatytułowanej: *La Révolution*' To też *Journal de Saint Petersbourg* nie ma dość słów na pochwałę tego dzieła, francuska zaś demokratyczna prasa nie zna miary swego oburzenia. Bardzo trafne zdanie w tej sprawie, podług mego przekonania, wypowiedziała znana powieściopisarka i świetna publicystka pani André Léo. Historja bezstronna i poważna, powiada przedstawia nam równocześnie zbrodnie władzy i nadużycia rokoszu. Pan Taine w swej całości dla władzy chciał widzieć tylko nadużycia rokoszu; republikanie dopuszczają tylko zbrodnie władzy... P. Taine, który widzi tylko fakt, który rozpatruje się w nim przy pomocy szkła powiększającego, a którego duma jest obca i wroga rewolucji ma słuszność co do faktów: rewolucja była gwałtowna, była anarchiczna. Jeśliby nie była anarchiczna, tj. nieprzyjazna władzy, która była jej wrogiem, nie byłaby rewolucją. Czy mogłaby być łagodniejszą, więcej ludzką, lepiej przeprowadzoną? Bez wątpienia. Przynajmniej jest to rzeczą bardzo możliwą. Lecz nie jestże niedorzecznością chcieć, ażeby ofiary z tego jedynie tytułu, że są ofiarami, zobowiązane były do wielkich cnót? ażeby ludzie, których utrzymywano w ciemnocie, byli mędrszymi od swoich panów? Wolelibyśmy, ażeby wypadki odbyły się inaczej; ale sama natura stosunków nie pozwalała na to. Nie trzeba wielkiej filozofii, ażeby to zrozumieć.

(Dok. n.)

DROGI ŻYCIA

POWIEŚĆ SZWEDZKA

przez

CARLINA.

(*Ciąg dalszy.*)

VIII.

Przywitanie pani Justyny i jej męża.

Zanim Lidja zdążyła wyjść na ganek, Edmund już pospieszył na powitanie siostry i pomagał jej wysiąść z powozu.

Pani Justyna jednak jakoś w złym była humorze i zaledwie raczyła odpowiadać; a te niby serdeczne pocałunki jakimi obdarzała synów w oczach Edmunda, miały w sobie coś tak nie smacznego, że kontent był gdy się jej pozbył oddając pod opiekę Lidji.

Wkrótce także ukazał się pan Adolf Rosenkranz, ów najukochańszy mąż pani Justyny. Niezmiernie chudy, z rozwiązanym krawatem, w brudnej koszuli, zabłoconych spodniach i powykrzywianych butach, wyglądał raczej na jakiegoś rekonwalescenta z lazaretu, aniżeli na bogatego dziedzica. Zrzuciwszy z siebie letni płaszcz podróżny i gwiżdżąc pod nosem jakąś Offenbachowską piosenkę, wszedł na ganek i tu zaczęły się przywitania pasierbów. Ha! jak się macie malcy — mówił całując ich i ściskając na wszystkie strony, przytem zapewniał, że ich będzie uważał za najlepszych chłopców w świecie, jeżeli mu pomogą powynosić rzeczy z powozu..

Gdy dzieci zajęte były znoszeniem ilości pudełek i pudełeczek, pan Adolf zagadnął młodego doktora:

— Słuchajno Edmundzie, cóż to u licha za piękność, która przyjmowała Justynkę? Nie sądzę, żeby to miała być nowa lektorka?

— Chciałem ci właśnie powiedzieć, kochany Adolfie — odpowiedział poważnie Edmund ściskając go czule za rękę — że to jest bardzo godna i wykształcona osoba, córka zmarłego urzędnika, dla tego proszę cię, nie częstuj jej swymi rubasznymi dowcipami.

— Do krocset?... — przerwał dziedzic zanosząc się od śmiechu. — Zdaje się, że ty tu innym zupełnie oddawałeś się studjom; ale ostrożnie, żebyś sam nie zrobił głupstwa!

Podczas rozmowy obydwóch panów, Lidja zaprowadziła panią Justynę do przeznaczonego dla niej pokoju. Zaraz po wejściu upadła niedbale na sofę, prosząc, ażeby ją Lidja ubrała, gdyż jak mówiła tak jest zmęczoną, że ruszyć się nie może.

— Chętniebym pani usłużyła — odpowiedziała grzecznie Lidja — ale pani hrabina czeka na mnie... Jednak przyszlę tutaj zaraz pokojówkę.

Słysząc taką odpowiedź, pani Justyna wyprostowała się na sofie i z największem zdziwieniem spojrzała na Lidję. Przyzwyczajona do uniżoności i służalstwa tak zwanych panien do towarzystwa, oburzyła się podobną dumą i ambicją nowej lektorki.

Lidja jednak nie czekając dłużej, poszła prędko do pani T..., która znów niecierpliwiła się, widząc, że prędko nie wraca.

— Cóż tam robiłaś tak długo? może ubierałaś Justynę? Nie spodziewałam się, żebyś dała sobą tak rządzić jak jaką służącą.

— Nie, przeciwnie, uwolniłam się od tego mówiąc, że nie mam czasu... Teraz muszę się spieszyć, bo trzeba przyrządzić do kawy.

— Dobrze, daj znać jak będzie gotowa... Ale otóż idzie mój pasierb!... Jak się masz Adolfie, nie myślałam, żebyś tak prędko przyszedł się ze mną przywitać?

Dziedzic tymczasem zamiast coś odpowiedzieć, zapatrzył się na Lidję, i dopiero gdy wyszła, pocałował hrabinę w rękę, zapewniając jednocześnie, że jeżeli jej przeszkadza w tej chwili, pójdzie natychmiast i później się przywita.

— Nie, nie — odpowiedziała uśmiechając się złośliwie hrabina — Lidja trafi sama, nie potrzebujesz jej odprowadzać. Siadaj lepiej i powiedz coście u wód robili?

— Nieznośny dzisiaj upał — mówi pasierb nie zwracając uwagi na pytanie, zobaczył bowiem przez okno, jak Edmund nadskakiwał pięknej lektorce, a nawet chłopcy resztę pakunków zostawiwszy w powozie, pobiegli do werandy pomagać Lidji.—Ach! moja najdroższa mamo, przynajmniej tyle dobrego przywieźliśmy z zagranicy, że humor Justynki nieco się poprawił, bo przedtem trudno już było z nią wytrzymać. Ale obawiam się, żeby teraz... muszę iść do niej, i pomódz przy ubieraniu... nie chcieliśmy zrobić mamie subjekcji z panną służącą...

— Idźże, idź stary bałamucie, tylko wracaj prędko, zaprowadzisz mię do ogrodu na kawę.

Dziedzic kontent był z otrzymanego pozwolenia, ale zaledwie wyszedł z pokoju, już go doleciał piskliwy głos żony — Adolfie! spiesz się na miłość boską... nie możemy otworzyć kufra.

— Do krocset... — mruczał pod nosem i uśmiechał się jednocześnie.

— Jakoś dobrze wygląda nasze urządzenie— mówił Edmund do Lidji, wracając się raz jeszcze aby obejrzyć, czy czego nie brakuje. Można oznajmić, że kawa już gotowa?

— Dobrze, niech chłopcy poproszą — odpowiedziała Lidja, kładąc świeże liście pod serwetki — gdy Edmund wychwalał dobry gust podobnego ubrania stołu.

— Najlepsza panno Lidjo, jeżeli spotka panią jaka niedelikatność, liczę że szlachetny umysł i wrodzony takt kierować będą jej postępowaniem w tym względzie.

— Na miłość Boską, nie rób pan wielkich rzeczy z drobnych kaprysów pani Justyny; dałam jej energiczną odprawę za zgodą hrabiny...

— Ja właśnie w tej chwili nie o siostrze myślałem — odpowiedział czerwieniąc się Edmund

— Pan dziedzic spodziewam się również, nie będzie sobie pozwalał niestosownych żartów! — Przy tych słowach purpurowy rumieniec oblał twarz Lidji, a oczy zajaśniały szczególniejszym błyskiem.

— On ani myśli ubliżać pani, ręczę za to, ale ma niedorzeczny zwyczaj, prawienia młodym paniom grzeczności, które uważa za konieczne w towarzystwie, i przez to obudza zazdrość Justyny... Otóż towarzystwo nasze nadchodzi.

Lidja stanęła skromnie przy drzwiach werandy. Najprzód weszła hrabina z panem Adolfem, który, widocznem było, tylko wzdychał aby się uwolnić od tego ciężaru; za nimi ukazała się wystrojona Justyna z synami za rękę, a ci podobnie jak ojczym także radziby uwolnić się od czułości matki, choć surowy wzrok tej ostatniej odbierał im resztę nadziei.

— Jakże to ślicznie nakryte? — zawołał dziedzic — gdy usiedli do stołu, a posadziwszy hrabinę, oddał głęboki ukłon Lidji zapewniając jak najsolenniej, że jeszcze nigdy nie miał takiego apetytu na kawę.

— Jeżeli, jak zapewniasz, taka cię bierze chęć do kawy, to proszę cię nie zatrzymuj Lidji, niech idzie nalewać! — odezwała się hrabina.

Pani Justyna nie rzekła ani słowa, tylko z pogardliwem lekceważeniem patrzała na Lidję, wymawiając złośliwie Edmundowi, że nawet na kawę nie raczył jej zaprowadzić. Zauważywszy jednak, że młody człowiek przyjmuje to spokojnie, a wreszcie zirytowana, że mąż i Edmund z zachwyceniem przyglądają się Lidji, przerwała swoje milczenie, odzywając się do matki:

— Przysięgłabym, że ta panna jest daleką krewną kochanej mamy, może z rodziny Hakensfeldów?

— Nie jesteś domyślną, kochana Justynko — odpowiedziała złośliwie hrabina — Lidja nie nazywa się Hakensfeld ani Siapenke!... Ale jeżeli chcesz koniecznie zrobić ją moją krewną, będziesz miała tę przyjemność nawet w tej chwili... Lidjo postaw kawę i proszę cię zbliż się do nas, moja siostrzenico, a przedstawię cię pani Justynie. Od dzisiaj jestem twoją ciotką!

Lidja ucieszona i rozpromieniona taką łaską, pospieszyła ucałować rękę hrabiny dodając: — Teraz, droga ciociu, chciałabym ci zastąpić prawdziwą siostrzenicę; bo jeżeli dotąd starałam się zadość uczynić woli mojej pani, teraz jeszcze bardziej starać się będę, ażeby zaskarbić przywiązanie ciotki.

— Do kroćset — przerwał śmiejąc się pan dziedzic — nie myślałem, aby mama miała tak wzniosłe, a co ważniejsza tak pożyteczne idee!

— Justynce głównie to zawdzięczam... Co ci jest, moja droga?... czy kawa ci nie smakuje?...

— Okropnie tu gorąco!... — odpowiedziała cicho upokorzona w swej dumie pani Justyna, oddając filiżankę z kawą Edmundowi.

— Może sobie życzysz aniołku, abym cię do twego pokoju odprowadził? Zapewne potrzebujesz odpoczynku? — zapytał czule małżonek.

Ale za całą odpowiedź zobaczył tylko lekkie poruszenie głowy i wiele mówiące spojrzenie.

IX.

Wyjazd Edmunda. Jak daleko rzeczy zaszły.

Było to nazajutrz po wyjeździe młodego doktora, a dziesięć dni blisko po przyjeździe państwa dziedziców do starej hrabiny. Z rozmaitych przyczyn, które Edmundowi aż nadto były znane, odwlekał on swój wyjazd z dnia na dzień; lecz w końcu różne obowiązki literackie zmuszały go udać się niezwłocznie do Sztokholmu. Dopóki Edmund był na wsi, Lidja miała w nim dzielnego obrońcę; taktowne jego zachowanie się do tego stopnia onieśmielało panią Justynę, że musiała się powstrzymać ze złośliwemi żartami i przycinkami względem młodej naszej bohaterki. Ale teraz, gdy nie potrzebowała obawiać się surowych i pogardliwych spojrzeń doktora, nie było końca dowcipkowaniu, tembardziej, że jak utrzymywała, Lidja postępowała względem niej lekceważąco i nietaktownie.

Właśnie tego dnia rano jeszcze wyjechał pan Adolf do pobliskiego miasteczka, ażeby załatwić sprawunki żony. Lidja zajęta była układaniem bielizny w garderobie a hrabina też w drugim pokoju przebierała maliny na konfitury. Pani Justyna nie pokazywała się od rana, i dopiero teraz weszła do garderoby.

— Dzień dobry pani — rzekła uprzejmie Lidja. — Może pani zechce mi pomódz, choć to niezbyt miłe zajęcie.

— Nie — chciałabym pomówić z kochaną mamą o czemś bardzo ważnem — rzecze otwierając drzwi do przyległego pokoju.

— Układanie bielizny jest także bardzo ważną rzeczą... — odezwała się hrabina — Lidja biedaczka ma taki nawał roboty, że dopiero po obiedzie znajdzie czas do smażenia.

— Panna Lidja ma zawsze i wszędzie co do roboty. Ale zdaje mi się panno Lidjo, że pani do czegoś innego ma daleko więcej zdolności, aniżeli do gospodarstwa? — odezwała się z przekąsem Justyna.

— Stara to piosnka. Wiesz co Justyno, śmieszna jesteś z twemi podejrzeniami. Kochany Adolfek to taka poczciwa dusza, że ani sposób o coś go podejrzywać. To samo mówiłaś ciągle, kiedy żył nieboszczyk mój syn, prawda?

— Pierwszy mój mąż nie dawał mi nigdy powodu do narzekań.

— To prawda; ale zdaje mi się, że Adolf mniej jest niebezpiecznym, zobacz, jakże on wygląda, nawet dobrzeby było, żeby choć pod względem ubrania naśladował swego synowca! Edmund zupełnie co innego, jestto człowiek przyzwoity, a przytem doskonały ogrodnik...

— Zkąd się kochanej mamie wzięło takie uwielbienie Edmunda. Wiem, że dawniej nie lubiła mama, aby nadskakiwano pannom do towarzystwa.

— Chyba zwarjowałaś Justyno? Jeżeli twój mąż nie nadskakuje tobie, to już doprawdy nie wiem, ktoby go tu obchodził.

— Tak?... A dla kogoż to Adolf jest tak uprzedzająco grzeczny? Czyż nie przed samą Lidją drzwi otwiera, tak jak gdyby ona należała do naszego towarzystwa?

— Dla każdej pokojówki Edmund zrobiłby to samo. Co się zaś tyczy twego męża, otwierałby on drzwi nawet przed moim białym kotem, gdyby ubrany był w spodnicę. Taka uprzejmość względem kobiet już leży w jego naturze.

— Dziwi mię podobne zapatrywanie i uważam za obowiązek powiedzieć, ze względu na spokój domowy... Ta kokietka, przyznam się mamie, zachowuje się w ten sposób, że czerwienić się trzeba patrząc na jej postępki.

— Przestań już raz mówić owe niedorzeczności, Justyno! — Przy tych słowach hrabina spojrzała niespokojnie na drzwi wiodące do garderoby.

— Ja się wcale z tem nie ukrywam, tembardziej że prawie wszystkie sąsiadki podzielają w tym względzie moje zapatrywania. To już prawdziwe zgorszenie!

— Alboż to jej wina, że jest ładną i że to wszyscy widzą?... Czy dostrzegłaś kiedy, ażeby ona żądała tego, lub wywoływała nadskakiwania?

— Swoją wystudjowaną i śmieszną powagą zwraca na siebie uwagę. Opowiedziała mi przecież pani N. że tej samej niedzieli kiedyśmy przyjechali, widziała na własne oczy jak Lidja stała dumnie przed kościołem niby jaka księżniczka, a Edmund swoją jedwabną chusteczką otrzepywał jej suknię. Czy słyszał kto coś podobnego? Doktor filozofii pannie służącej suknię czyści?...

Na takie rozumowanie hrabina wybuchła tak głośnym śmiechem, że obrażona do żywego Justyna zawołała:

— Mama postępuje ze mną jakbym była pozbawiona zmysłów!... Ona musi ztąd odejść! Już nie wytrzymam dłużej. Adolf jest oczarowany... Kochana mamo — rzekła już nieco spokojniej — znam nie młodą i doświadczoną gospodynię, która właśnie jest bez miejsca. Niech mama tylko pomyśli o zimie, którą razem mamy przepędzić w mieście!

— Zwarjowałaś, słowo daję! Czy myślisz, że dla zadosyćuczynienia twojej głupocie, wypędzę natychmiast Lidję i puszczę ją na los szczęścia?

W tej chwili otworzyły się drzwi od garderoby i ukazała się Lidja. Blada jak płótno, ale dumna i wyniosła była tak imponująca, że Justyna, która rzeczywiście pragnęła wywołać tę scenę, zadrżała cokolwiek. Wiedziała bowiem, że Lidja obok w drugim pokoju słyszała wszystko doskonale i liczyła na jej oburzenie.

Młoda dziewczyna prędko odzyskała przytomność.

— Dobra i kochana ciociu—rzekła łagodnie, całując rękę hrabiny.—Potem co zaszło nie mogę tu dłużej pozostać, a nawet sama o to proszę, choć wiem że to rozłączenie drogo nas będzie kosztowało.

— Kochane dziecię—odpowiedziała hrabina rzucając pogardliwe spojrzenie na synowę, która w tej chwili obojętnie zupełnie oglądała album fotograficzne—kochane dziecię, nie pozwolę nigdy ażebyś ztąd odjeżdżała tembardziej, że w tej chwili nie masz odpowiedniego miejsca.

— I o tem myślałam—przerwała Lidja—ale to może opatrzność boska zsyła mi jakąś nadzieję, bo oto wyczytałam rano w dzienniku, ogłoszenie, że potrzebną jest nauczycielka do dwojga małych dzieci w jakimś bogatym mieszczańskim domu. Napiszę tam zaraz, załączę otrzymane od cioci świadectwo, a za kilka dni powinnam mieć odpowiedź. Jeżeli się tam nie zgodzę, pojadę do ciotek.

— Co się to stało, panna Lidja na gwałt ztąd wyjeżdża?—dał się słyszeć głos pana Adolfa dziedzica, który przypadkowo słyszał całą tę scenę.

— A ty zkąd tak prędko powróciłeś?— zapytała spoglądając na niego z wyrzutem Justyna.

— Prawda, że trochę za wcześnie? sama jesteś temu winna, nie dawszy mi swoich notatek. Ale zdaje mi się, żeś dobrze dopilnowała swego ulubionego rzemiosła!

Pierwszy raz odkąd się pobrali, nie wiedziała pani Justyna co mężowi odpowiedzieć, choć hrabina mocno była zdziwioną nie przypuszczając, aby ten dobroduszny Adolf, zdobył się na tyle energii. Zresztą do tego stopnia oburzyło ją postępowanie Justyny, że w tej chwili nie była w stanie słowa wymówić. Lidja jednak odpowiedziała spokojnie: Pan dziedzic zanadto łaskaw aby zwracać uwagę na podobne zajście, wywołane jedynie tem, że wyczytałam w gazecie wiadomość o miejscu, które zdaje mi się będzie dla mnie odpowiedniejszem.

— Dobrze... jednak słyszałem wchodząc...

— Proszę cię nie mięszaj się do naszych interesów—przerwała trochę niedelikatnie hrabina.

— Zupełnie o tem nie myślałem kochana mamo—ale usłyszawszy, że panna Lidja ma wkrótce wyjechać, chciałem poprosić o przebaczenie jeżeli jej kiedy w czemkolwiek uchybiłem. Zapewniam, że nie robiłem tego z braku szacunku dla panny Lidji, broń Boże. gdyż w moich oczach daleko wiecej pani ma do niego prawo niż wiele innych. Przy tych słowach skłonił się uprzejmie Lidji a jednocześnie obracając się do żony powiedział: Teraz proszę cię Justyno, daj mi twoje notatki.

Małżonkowie opuścili razem pokój.

— No, nie uwierzyłabym nigdy jaki to szlachetny i poczciwy człowiek z tego Adolfa!... Dopieroż ona będzie się złościć, ha!... Kochana Lidjo, czy to niewzruszone postanowienie twoje?

— Tak droga ciociu, sama widzisz, że to jest koniecznem... A przytem i tobie dogodniejsza będzie starsza osoba do zarządu!

— Cóż robić kiedy trzeba!

rzekła hrabina z westchnieniem—ale co na to powie Edmund?

— Jestem pewna, że gdy mu ciocia opowie to wszystko, pochwali moje postanowienie.

— Możesz rachować na mnie. (C. d. n.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Lwów dnia 19. lutego.

Powiedzcie mi czytelniczki, jak tu podczas najgorętszej kanikuły karnawałowej można myśleć, mówić i pisać o czem innem, jak nie o zabawach? Wszystko co żyje we Lwowie tańczy, a co nie tańczy to myśli i pracuje dla tych co tańczą.. Dlatego też nie dziwcie się, jeżeli przed oczami kronikarza waszego, historja ubiegłego tygodnia wiruje tak szybko, że nie wiadomo co ma wprzód uchwycić i do kroniki wpakować... No, reduty Harmonji i artystów sceny lwowskiej naturalnie że się udały: na pierwszej koncept zrzucenia z galerji manekina przedstawiającego człowieka, udał się doskonale jako niespodzianka, przyprawiwszy o palpitację serca wiele pań, które sądziły że to prawdziwy człowiek upadł na parter i zabił się na miejscu. Rzeczywiście komitetowi urządzającemu tę artystyczną zabawę trzeba powinszować takiego pomysłu, przypominającego bardzo okolicznościowe obrzędy wiejskiego ludu po wsiach naszych, jak naprzykład wrzucanie do wody dziewcząt wiejskich na szmigus wielkanocny. Na drugiej reducie pochód beduinów, jak afisz zapowiadał z artystów i literatów, nie zrobił wielkiego wrażenia, z czego się pokazuje, że nawet takie wyglądające na płaską blagę zapowiedzi, przejadać się zaczynają, mniemani reprezentanci sztuki i literatury w beduińskich kostjumach zrobili kompletne fiasko.

Co do balów, wieczorów, pikników itp. na cele dobroczynne i niedobroczynne wyprawianych, chciałbym w opisie ich naśladować korespondenta Czasu z Wiednia, który donosząc o balu polskim ograniczył się na wymienieniu tych pań, które świeciły tam swoją nieobecnością. Zważcie zatem szanowne czytelniczki, w jakim byłbym kłopocie zdając sprawę z wieczorku urządzonego na dochód Stowarzyszenia Dam dobroczynności, na którym znalazło się aż trzy pary do tańca. Nie wiem czy wszystkie te panie i panienki mając przepełnione usta frazesami o miłosierdziu chrześciańskiem, byłyby mi wdzięczne, gdybym je tu wypisał w alfabetycznym porządku, i zajął się wymienianiem ich świetnej toalety, w jakiej mogłyby się na tym wieczorku znajdować, i unosił się nad ich wdziękami, wynalazłszy między niemi królowe, wice-królowe, następczynie tronu i tym podobne osoby, jakiemi mogłyby zostać, gdyby tam były... Potem, uniesiony zachwytem nad rozmiękczeniem ich serca spieszącego z ofiarą tam gdzie jest cierpienie, napisałbym odę dziękczynną, w której tkliwość niewieścia własnemi rękami ociera łzy niedoli, a te łzy niby drogocenne perły, daleko drogocenniejsze od tych, które te litościwe damy miały na sobie podczas wieczoru, zbiera specjalnie dla Lwowianek wyznaczony stróż-anioł i zanosi przed tron najwyższego.... Żałujcie szanowne czytelniczki że o tem wszystkiem się nie dowiecie, tłumiąc w piersiach sprawozdawcy waszego, prawdziwy talent poetycki, który właśnie już miał przygotowany zapas końcówek i porównań, o jakich się nawet Mickiewiczowi nie śniło... „Wszystko jak sen zniknęło....“

Lecz tak zawsze nie będzie! Utajona cnota wypłynąć musi jak oliwa na wierzch, skoro dostaniemy oświetlenie elektryczne świecznikami Jabłoczkowa. Pan Bruno Abakanowicz, który niewiadomo w jaki sposób wykrada zawsze tajemnicę wszelkich nowych odkryć naukowych na świecie i to wcześniej od innych uczonych zaznajamia z niemi publiczność lwowską, w zeszłym tygodniu tak jaskrawo oświecił salę posiedzeń i dziedziniec ratuszowy, że ciekawi słuchacze mogli się na wskróś przeglądać... Dopieroż zrobił się popłoch między rajcami miasta, którym się zdawało że pod względem oświaty, nikt ich nie przewyższy, i że sławne na cały świat kaganki naftowe oświecające niby to przedmieścia a naprawdę trzy czwarte Lwowa, mają cokolwiek słabsze światło od elektrycznego... Trzeba było słyszeć różne dysputy prowadzone na ulicy po wyjściu z prelekcji. Ile to zarzutów robiono temu światłu? To, że zanadto niebieskie, to, że za jasne, to że świeczki tylko na półtorej godziny wystarczą, a w końcu stanęło na tem, że ponieważ Jabłoczkow jest Moskalem, byłoby rzeczą bardzo nie patrjotyczną wprowadzać tu do Lwowa moskiewskie wynalazki... Mimo to komitet zajmujący się budową gmachu sejmowego na serjo myśli o zaprowadzeniu światła elektrycznego w przyszłej sali posiedzeń. Z naszej strony nie śmiemy wdawać się w bliższe ocenianie praktyczności lub niepraktyczności tego zamiaru, jednak sądzimy, że czasami zdałoby się i naszym posłom więcej światła choćby dlatego, żeby prócz wielkiej polityki, mogli dojrzeć i drobną biedę galicyjską, jak się zdaje dotąd tylko przez dobre szkła powiększające widzialną.

Zadziwiającem jest, jak Dyrekcja teatru, wobec tak namiętnego oddawania się publiczności zabawom karnawałowym, potrafi wytrzymać współzawodnictwo z niemi, i prawie że za poły ciągnie na przedstawienia swoje amatorów. Co kilka dni daje nową sztukę to „Damę treflową“ Kazimierza Zaleskiego, to „Co tu kłopotu“ Fredry, to obiecuje „Na dwóch stołkach,“ to wreszcie „Don Juana“ Mozarta... Donjuanizm zaczyna znowu być u nas w modzie, bo i hr. Baworowski wydał ciąg dalszy tłómaczenia Byrona i to w Tarnopolu, a młodzież uczęszcza tłumnie na śpiewające posiedzenia panien wiedeńskich które się ulokowały w kawiarni przy Ormiańskiej ulicy... W Krakowie ta sama młodzież wystąpiła z prośbą do Magistratu, aby zamknięto te śpiewające otchłanie zepsucia, widocznie chce się ratować jak tonący chwytając brzytwę za trzonek.. U nas także myślą o tem i zdaje się, że się namyślą, jeżeli właściciel kawiarni cokolwiek przystojniejszych artystek nie sprowadzi...

Wystawa zgromadzonych przez Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego przedmiotów z wystawy paryzkiej, a przeznaczonych dla Muzeów we Lwowie, Krakowie i szkoły Dublańskiej, już otwartą została w gmachu ratuszowym—i radzimy czytelnikom pospieszyć się z obejrzeniem takowej. Prócz fotograficznych wzorów z dziedziny architektury, tablic przedstawiających kulturę rolniczą i lasową, prócz dzieł naukowych, rycin i wzorów, tudzież okazów mieszczących się w jednej sali, druga zapełnioną jest okazami ceramicznych wyrobów francuskich glinianych, porcelanowych i fajansowych. — Po wyrobach francuskich idą belgijskie, dalej słynne Wegvoody angielskie, niemieckie i innych krajów Europy, a nawet japońskie i anamskie. Wyroby koszykarskie francuskie ślicznie się przedstawiają, a powszechne zdumienie sprawia gablotka z amerykańskiemi wyrobami ślusarskiemi. Hr. Włodzimierz Dzieduszycki tyle zajmujący się stworzeniem u nas przemysłu domowego, umiał wybrać to co rzeczywiście dla kraju może być wzorem, za co należy mu się prawdziwa wdzięczność narodu... Daj Boże aby więcej takich szlachetnych protektorów znalazła Galicja, a nie potrzebowalibyśmy zwoływać ciągle ankiet mających zaradzić biedzie krajowej i łamać sobie głowę jak tu uchronić ubogą ludność od ciągłej nędzy. Nie dość jest dać czasami jałmużnę, lub ułatwić pożyczenie pieniędzy, ale użytkować korzystnie swą pracę, tą pracą się opiekować, do niej zachęcać troszcząc się o zbyt wyrobów krajowych, to będzie rzeczywistem dobrodziejstwem.

Kiedy w Krakowie bawią się w pańskich domach po staropolsku, urządzając nawet Krakowskie wesela, a Czas rozpisuje się o tych zabawach jakby o wypadkach doniosłego dla całego kraju znaczenia, na Rusi grasuje tyfus i dyfterja dziesiątkujące biedny lud wiejski. Połowę kraju trapi księgosusz wydzierając ostatnie bydlę ubogim rodzinom, zaś okolice nad Wisłą i Sanem stoją pod wodą, i zrozpaczeni kmiotkowie siedzą zgłodniali na strychach domów, to jakoś nikomu nie przyjdzie na myśl odwołać się do serc litościwych dla zorganizowania dla nich jakiejś pomocy publicznej. Jeżeli mamy pieniądze na suknie balowe, na drogie przyjęcia; jeżeli możemy za parę godzin przyjemności słuchania gry Rubinszteina złożyć cztery tysiące reńskich, czyżbyśmy nie zdobyli się na zebranie jakiej kwoty dla tych nieszczęśliwych topielców, którym woda i kra zniszczyła wszystkie zasiewy, zrujnowała chaty skazując na całoroczną nędzę. Sądzę że zdobylibyśmy się z ochotą, gdyby znaleźli się tacy gorliwi protektorowie do zbierania składek, jakich spotykamy często przy urządzaniu pikników i wciskaniu zaproszeń na publiczne zabawy. Dlatego też ośmielamy się przypomnieć czytelnikom naszym to wszystko w nadziei, że poczciwe Polki nasze, potrafią i po za balową salą błyszczeć dobremi uczynkami i zasłużyć sobie na korony królowych patrjotyzmu i chrześcijańskiej miłości bliźniego.

* * *

Ciekawa wywiązała się polemika w Warszawie o znany wiersz Mickiewicza.

„Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą“ itd. a mianowicie ktoś zaprzeczył autorstwa tego wiersza Mickiewiczowi twierdząc, iż jest on utworem *Mikołaja Węża* napisanym w r. 1818 do panny Kołyszkówny, córki jenerała Kołyszki. Według innej wersji wiersz ten miał napisać Mickiewicz w miesiącu marcu 1830 r. w Albano, w książeczce panny Henrjety Ankwiczówny (która zmarła w styczniu roku b. jako pani Kuczkowska) i był drukowany w noworoczniku litewskim na rok 1831 wydawanym przez Hipolita Klimaszewskiego. Ponieważ obecnym napisaniu tego wiersza przez Mickiewicza miał być A. E. Odyniec, wypada więc czekać z jego strony potwierdzenia lub zaprzeczenia, jeżeli po 50 latach będzie pamiętał. Ciekawą jest również rzeczą, zkąd wziął się ten wiersz w wydaniu pośmiertnem pism Mickiewicza dokonanem przez rodzinę, kiedy w dawniejszych wydaniach go nie ma. Bądź co bądź jest bardzo charakterystycznem, że mogą powstawać wątpliwości co do autorstwa nawet poezji Adama Mickiewicza.

* * *

Dnia 19. lutego jako w rocznicę śmierci Mikołaja Kopernika odbyło się we Lwowie doroczne walne zgromadzenie „Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika“. Posiedzenie zagaił przewodniczący prof. Br. Radziszewski mową o najnowszych odkryciach w dziedzinie chemji.

Po odczytaniu sprawozdań z zeszłorocznej działalności Towarzystwa i obrotu funduszów, przystąpiono do obioru prezesa, którym wybrano prof. Wawrzyńca Żmurkę a wice-prezesem prof. Niedźwieckiego.

Towarzystwo, jak wiadomo, wydaje bardzo cenne pismo perjodyczne p. t. *Kosmos*, wychodzące w zeszytach miesięcznych. Trudno uwierzyć, że pismo to liczy w Galicji *dwudziestu* tylko prenumeratorów! a pod zaborem moskiewkim 75. Wprawdzie oprócz powyższych około 150 egz. rozchodzi się tego pisma między członkami.

Ponieważ *Kosmos* wychodzi już rok czwarty i trzy poprzednie roczniki przedstawiają poważną całość, świadczącą o działalności towarzystwa, postaramy się w jednym z najbliższych numerów bliżej czytelników zaznajomić z treścią *Kosmosu*.

Prenumerata na *Kosmos* wynosi 6 zł. rocznie z przesyłką.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bałucki M.* Teatr amatorski, krotochwila w 2 aktach 8ka, str. 25. Lwów 1879. Cena 80 ct.

— *Bliziński Józef.* Mąż od biedy, komedja w jednym akcie 8ka, str. 19. Lwów 1879. Cena 40 ct.

— *Eyrand Achiles.* Panna Piwert, komedja w 2 aktach z francuskiego 8ka, str. 24. Lwów 1879. Cena 60 ct.

— *Hardowski J.* Strażacy. Obraz społeczny w 4 aktach ze spiewkami oryginalnie napisany 8ka, str. 56. Lwów 1879. Cena 1 zł.

— *Kaczkowski Z.* Graf Rak. Powieść, 8ka, str. 314. Lwów 1879. Cena 3 zł.

— *Prawdomowski Bron.* Heloci XIX wieku. Społeczno historyczne spiewy, 8ka, str. 151. Lwów 1879. Cena 1 zł. 50 ct.

— *Stadnicki K.* Przyczynek do heraldyki polskiej w średnich wiekach 16ka, str. 307. Lwów 1879, opr. Cena 2 zł. 80 ct.

— *Szczepański Alfred.* Którędy i dokąd. Ludziom z którymi wiąże mnie wzajemny szacunek i ufność uwagi te poświęcam 8ka, str. 14. Poznań 1879. Cena 20 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ *Na rozdrożu.* Obrazek życia wiejskiego, napisał Karol Paszliński. Dzieło polecone przez Dyrekcję Tow. oświaty ludowej w Poznaniu. Poznań 1879.

Jest to powieść z życia ludu wiejskiego, napisana ze znajomością ludu, jego potrzeb, nałogów i stosunków dla tego jest równie zajmującą tak dla inteligencji, która chciałaby lud poznać, jak dla samego ludu. W powieści tej nie ma autor żadnych ubocznych celów jeno maluje życie wiejskie takiem jakiem ono jest. Należy się prawdziwe uznanie Tow. Oświaty ludowej, że podobne dziełko wybrało i poleciło. Lud je będzie czytał z przyjemnością i korzyścią. Pan Paszliński, znany już ze swych prac na polu literatury ludowej zamierza widocznie poświęcić swe siły w tym kierunku, czem odda wielkie usługi społeczeństwu. Literatura ludowa jest u nas bardzo ubogą, wyborowych rzeczy prawie nie posiada, zwłaszcza że cenne prace Anczyca, Gregorowicza i innych przy zmienionych obecnie stosunkach włościańskich nie mają już tego znaczenia jakie miały w czasach gdy były pisane. Książkę powyższą polecamy przyjaciołom ludu.

⁂ Drugi zeszyt *Biblioteki Warszawskiej* zawiera: Pamiętniki kantora katedry krakowskiej. Przez Lucjana Siemieńskiego. Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowej (według źródeł hiszpańskich). Przez A. G. Syn Margrafa. Tragedja z X wieku w 5-aktach. Przez Bronisława Grabowskiego. Wpływ dróg żelaznych na ruch ekonomiczny w Rossji. Przez Jana Blocha. Sumienie i moralność. Przez K. Łuczyckiego. Zabobony meteorologiczne ludu nadnarwiańskiego. Przez Zygmunta Glogera. Hieronim Spiczyński przez Gustawa Zielińskiego. Kronika poznańska. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego: Alfred de Musset. Jadwigi Krausharowej przez Kazimierza Kaszewskiego: Artur Grottger, Klemensa Kanteckiego przez R., Pamiętnik instytutu Warszawskiego głuchoniemych i ociemniałych przez K. Wł. W. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. Nekrologja.

⁂ Drugi zeszyt *Ateneum* zawiera: Drobna szlachta w królestwie, studjum społeczne, napisał Władysław Smoleński. Polska wobec wybuchu wojen Husyckich, napisał Stanisław Smolka. Katastrofa Patkula, przyczynek do dziejów epoki 1704—1707 przez Kazimierza Jarochowskiego. Krzyż nad otchłanią, Studjum kobiece przez Deotymę. Pogląd na dawniejsze i tegoczesne podstawy nauki lekarskiej, przez Dra Hoyera. Rzeźba na wystawie w Paryżu przez Sygietyńskiego. Z dziejów języka polskiego, napisał Ad. Ant. Kryński. Wydział matematyczno-przyrodniczy akademji umiejętności w Krakowie 1876, 1877 przez M. A. Baranieckiego. Krytyki: Historja wielkich odkryć geograficznych w XV i XVI wieku przez Oskara Peschla, przekład Józefa Tretiaka; Mittheilungen des Copernicus Vereins für Wissenschaft und Kunst zu Thorn; Edward Laboulay, Państwo i jego granice, studjum prawno-państwowe, przekład Józefa Schiffa. Objaśnienie z powodu poezji Mickiewicza. Kronika naukowa przez Bronisława Rejchmana. Kronika miesięczna.

⁂ Trzy nowe encyklopedje. Kilka lat temu gdy zapowiedziano wydawnictwo Encyklopedji, po wstały na raz aż cztery encyklopedje, dwie zupełnie identyczne, Synów Orgelbranda i Józefa Ungra w 12 tomach każda, trzecia mniejsza w 3 dużych tomach i czwarta specjalna Encyklopedja rolnictwa, której tom 5ty jest w druku. Obecnie zapowiadają *Encyklopedję padagogiczną*, *Encyklopedję nauk społecznych i ekonomicznych* i *Słownik geograficzny królestwa Polskiego i krajów przyległych*. Ten ostatni obejmie 6 do 8 tomów wyjdzie pod redakcją Sulimierskiego redaktora Wędrowca.

⁂ Adam Wiślicki, wydawca *Przeglądu Tygodniowego*, oraz wielu dzieł tanich i pożytecznych zamierzył nowe wydawnictwo pod nazwą *Tanie wydawnictwo dzieł literatury ojczystej i zagranicznej*, które ma wydawać na wzór *Biblioteki Mrówki* i tego rodzaju wydawnictw zagranicznych. Po znanej energji p. Wiślickiego spodziewać się można, iż przedsięwzięcie swoje doprowadzi do skutku.

⁂ *Sprawa Ruska* Prowodyrowie Rusi spółcześni, skreślił Zygmut Miłkowski. Poznań. 1879.

⁂ *Stanisław Leszczyński* jako statysta. Napisał Aleksander Rembowski. Warszawa 1879.

⁂ *Historji pierwotnej Polskiej*, opuścił prasę tom II. Ogólnego zbioru pism *Juljana Bartoszewicza* tom IV.

Tom ten zawiera: Księga czwarta, *Bolesław Chrobry* (Wielki). Charakterystyka. Zdobycie Pomorza. Pierwsze apostolstwo Polski. Zdobycie Chrobacji i krain tatrzańskich. Niepodległość królestwa Polskiego. Zdobycie Czech. Odwet niemiecki w Polsce. Zapasy z Niemcami. Pokój budziszyński. Wojny z Rusami. Rozszerzenie się Polski na wschodzie. Domowe sprawy. Księga piąta. *Zachwianie się dzieła Bolesławowego.* Mieczysław Gnuśny. Zamięszanie spowodowane przez Ottona Bezbraima. Odbudowanie Polski. Kazimierz Odnowiciel. Jarosław Jedynowładca. Sprawy kościoła. Księga szósta. *Bolesław Śmiały.* Pierwsze wojny. Sprawy ruskie. Wmięszanie się Grzegorza VII. do spraw polskich i ruskich. Upadek Bolesława Śmiałego. Strata krain ruskich. Reakcja pomorska.

Cena pojedynczego tomu 3 zł. 50 ct. Przedpłata na 10 tomów 30 zł.

⁂ Dowiadujemy się iż p. Lucjan Totomir oddał do druku najnowszą swą pracę: *Dzieje polski* potocznie opowiedziane a przeznaczone dla użytku młodzieży. Jakkolwiek posiadamy dużo podręczników jednotomowych do dziejów polskich, a między niemi tak cenne jak Lelewela, Henryka Schmitta, Wieczory pod lipą, Co się działo w Polsce? nie mniej przeto książka p. Tatomira będzie nader pożądanym nabytkiem w literaturze historycznej, a mamy nadzieję że pod względem praktycznym odpowie zupełnie oczekiwaniom.

⁂ Dowiadujemy się również, że p. Bobrzyński, profesor uniwersytetu krakowskiego, wydał jednotomowy podręcznik dziejów polskich. Uczeni oczekują, że książka ta zajmie poważne miejsce między podręcznikami dziejów polskich.

⁂ Polacy w Ameryce postanowili obchodzić jubileusz J. I. Kraszewskiego 19. murca r. b. jako w dzień imienin jubilata.

⁂ Profesor Bergon wydał w Norymberdze pierwszy zeszyt fotograficznego *Albumu Wita Stwosza.*

⁂ *Kollokacja* powieści Józefa Korzeniowskiego wyszła w Lipsku w przekładzie niemieckim dokonanym przez Filipa Loebensteina.

⁂ Akademja nauk moralnych i politycznych w Paryżu ogłosiła konkurs na dzieło: *„Życie, prace i dzieła Ludwika Wołowskiego. Wykazać jego oryginalność i zasługi na polu prawa i ekonomji politycznej.* Nagroda wynosi 3.000 franków. Termin do 31. grudnia 1879 r.

⁂ *Zarysy Chińskie.* Herbert A. Giles, urzędnik konsulatu angielskiego, który spędził 8 lat w Chinach, wydał pod powyższym tytułem bardzo zajmujące i niesłychanie pouczające dzieło. Zawiera ono plastyczny obraz żywota na wszystkich szczeblach od kolebki, wychowania, małżeństwa, aż do trumny i od urządzeń wychowawczych, medycyny, religji, etykiety aż do toalety stołu Jego Niebieskiej Mości.

⁂ *Obrazy Kairu*, malowniczo i ze zajomością obecnych stosunków Egiptu skreślił Adolf Ebeling.

⁂ Nr. 3 „Echa muzycznego“, dwutygodnika literackio-artystycznego, wychodzącego w Warszawie, zawiera w części muzycznej: Pensée fugitive Schwarzbacha; Chant du soir przez Pawła Hillera; w części literackiej; Rzeczy bieżące; Opowiedź na Odpowiedź p. Jana Kleczyńskiego; Korespondencja z Paryża p. W. S. i p. Arcanio.

⁂ Towarzystwo naukowe w Toruniu. wysyła J. I. Kraszewskiemu adres. Adres ten wyszedł z pracowni p. Salba, i odznacza się gustownym pomysłem i pięknem wykonaniem. W górze widać herby: chełmiński, pomorski i malborski. Po lewej stronie widok Chełmna, kamień legendowy w Belnie, ratusz w Toruniu z pomnikiem Kopernika. w dole Toruń; z drugiej strony widok Chełmna, Zielona brama, Gdańsk i obraz Piotrowskiego „Wanda.“ Napis opiewa: „J. I. Kraszewskiemu na weselną pamiątkę rozpoczętego przed 50 laty pisarskiego zawodu przesyła gorące wyrazy wdzięcznego uznania Towarzystwo naukowe w Toruniu.“

⁂ 13. lutego w południe odbył komitet jubileuszu J. I. Kraszewskiego posiedzenie. Przewodniczący prezydent miasta zawiadomił, że czyniąc zadość uchwale komitetu zaprosił Jubilata, aby na obchód przybył do Krakowa, zostawiając jego decyzji wybór dnia dla niego najdogodniejszego. Na pismo Prezydenta m. Krakowa odpowiedział Kraszewski następującym listem:

Jaśnie Wielmożny Prezydencie!

Nad zasługi i nadzieje wynagradzacie mnie łaską Waszą. Staremu Krakowowi winna od nas cześć i miłość, każdego takiego dowodu uznania i współczucia pochodzącego z grodu stolicy, cenę wysoko podnosi. Z sercem przejętem wdzięcznością odczytałem wyrazy listu Waszego.

Mam wprawdzie pół wieku służby za sobą, lecz samą pracą i tylu dowodami uznania tak jestem już sowicie wynagrodzony, że więcej pragnąć nie mogę. Byłbym przeto tej myśli, aby raczej wszelkiego obchodu zaniechać, gdy dziś czas dla nas skupienia ducha i cichego trudu.

Zarządzicie inaczej, zastosuję się do woli Waszej, w żadnym jednak razie nie moją rzeczą o czasie stanowić i chwilę wybierać. Będę Wam posłusznym, Szanowny Prezydencie, ale proszę, abyście tylko własną dogodność mieli na celu. Stanie się jak Wy postanowicie.

Raczcie przyjąć najszczersze wyrazy mojej wdzięczności i głębokiego szacunku, z jakim mam honor zostawać

JWPana Dobrodzieja
sługą najniższym
J. I. Kraszewski.

Drezno, dnia 10 lutego 1879.

Komitet po dłuższej dyskusji zgodził się. aby obchód jubileuszu Kraszewskiego odbył się w Krakowie dnia 30. września r. b. Starano się uwzględnić najrozmaitsze okoliczności i życzenia. Naprzód tedy uczyniono zadość, o ile się dało życzeniom, Warszawian, którzy wprawdzie pragnęli o tydzień wcześniejszego terminu, lecz znów ze względu na wypadające dnia 29. września święto w Galicji i to zaraz po niedzieli a tem samem ułatwiające przyjazd chcącym wziąć udział, spoźnienie terminu o tydzień okazało się odpowiedniejszem. Za dniem tym przemawiała jeszcze okoliczność, że będą już po większej części wówczas w Krakowie profesorowie uniwersytetu i szkół, oraz młodzież uniwersytecka, termin ten także dogadza ze względu na akademię umiejętności. Jakklowiek bowiem dotychczas niewiadomo czy i jaki udział instytucje te zechcą wziąć w zbchodzie jubileuszu, wszelako należało mieć wzgląd na nie, gdyby zamiar ten powzięły. Ogłoszenie dnia jubileuszu, że tak powiemy, urzędowe, nastąpi za kilka dni. Do ułożenia programu tego obchodu wydelegowano komisję, w której skład zaproszeni postali: pp. *Walery Rzewuski. Jul. Kossak*, *Adam Asnyk*, *Adam Miłaszewski i Karol Langie.* Nadto postanowił komitet zaprosić do grona swego p. *Alfreda Szczepańskiego*, był on bowiem jednym z pierwszych, którzy myśl jubileuszu podnieśli.

Nekrologja.

† *Juljan Władysław Dalkiewicz.* Dr. medycyny, żołnierz z powstania 1863 r. zmarł w 41 roku życia w Tarnowie dnia 10. lutego 1879.

Cnotliwy obywatel, szczery patrjota, przedwczesnym swoim zgonem pogrążył w smutku wszystkich, którzy go mieli sposobność poznać.

Cześć jego pamięci.

MÓR ATEŃSKI.

Tucydydes, księga 2-ga, rozdział 47—54.

Przełożył z greckiego

ADAM MASZEWSKI.

Z upływem zimy skończył się pierwszy rok wojny peloponeskiej [1]). Skoro tylko rozpoczęło się lato, peloponezyjczykowie i ich sprzymierzeńcy, pod dowództwem Archidamosa, syna Zeuksidamosa, wtargnęli do Attyki i, rozłożywszy sie obozem, niszczyli kraj. Niewiele jeszcze dni przebyli oni w Attyce, gdy po raz pierwszy choroba owa poczęła szerzyć się wśród Ateńczyków; a chociaż, jak mówiono, wybuchała ona i dawniej w różnych stronach między ludnością Lemnosu i w innych miejscowościach, jednak tak wielkiego moru i takiej zagłady ludzi nigdzie nie zapamiętano. Żadne bowiem ludzkie środki przeciw niej nie pomagały; lekarze, lecząc początkowo na oślep, sami owszem, jako najbliżej stykający się z morem, najczęściej padali jego ofiarą; a bogowie twarz odwrócili od ludzi, naprôżno ludzie błagali ich po świątyniach, naprôżno udawali się do wyroczni i miejsc cudownych, aż, znękani niedolą, i to nareszcie czynić przestali.

Wszczęła się najpierw, jak mówią, choroba ta w Etjopji, leżącej powyżej Egiptu, a z niej następnie przeszła do Egiptu i Libji, oraz większej części ziem króla perskiego. Na miasto Ateńczyków rzuciła się ona niespodzianie i najprzód w Pireju czepiała się ludzi tak, iż z początku przypuszczano, że peloponezyjczykowie pozatruwali cysterny, sztucznie bowiem wytryskujących źródeł nie było tam jeszcze; następnie atoli dobrała się i do górnego miasta, a wtedy już daleko gęściej poczęli mrzeć ludzie. Otóż niech każdy lekarz i nieobeznany ze sztuką lekarską wypowie o tem swe zdanie: zkąd prawdopodobnie wzięło się to nieszczęście i jakie z przyczyn tak strasznego zjawiska, uważa za dość potężne, by wywołać taki przewrot w organizmie; ja zaś, ponieważ i sam przebyłem tę chorobę i patrzałem na innych chorych, opowiem jaką ona była i wskażę jej charakterystyczne rysy, które poprzednio poznawszy, w razie powtórnego jej kiedykolwiek napadu, możnaby było pewne wyrobić sobie o niej pojęcie.

Rok ów, jak się wszyscy zgadzali, ze względu na inne choroby, był szczególnie pomyślny dla zdrowia. Wszelka zaś choroba, na jaką kto zapadł był poprzednio, przechodziła w tę o której mowa. Jednak i bez wszelkiego powodu, nagle, zdrowych przedtem ludzi opanowywał silny żar głowy, zaczerwienienie i zapalenie oczu; wewnątrz zaś, gardło i język natychmiast nabiegały krwią, a oddech stawał się nierówny i cuchnący. Następnie wyradzało się z tego kichanie i chrypka, po niejakim czasie choroba z ciężkim kaszlem opadała na piersi; a skoro tylko usadowiła się w żołądku, wykręcała go i wtedy z wielkiemi boleściami następywały wszelkie, o jakich mówią tylko lekarze, wymioty żółcią. Największą część zakażonych napadało daremne dławienie się do wymiotów, które wywoływało gwałtowne kurcze (konwulsje), trwające u jednych krócej, u drugich dłużej. Ciało zewnątrz, w dotknięciu, nie było zbyt rozpalone ani blade, lecz nieco zaczerwienione, sinawe, pokryte małemi pryszczami i owrzodzeniami; wewnątrz zaś tak pałało, że chorzy trzymani byli nago, nie znosili bowiem żadnego przykrycia, choćby z najcienszych szat i indyjskiego płótna (muślinu), a najchętniej rzucali się do zimnej wody. To też wielu, pozostawionych bez opieki, czyniło to, rzucając się do studni, pod wpływem nieustającego pragnienia; bo czy kto pił mniej lub więcej, wszystko było jedno. Męczyła też ciągła niemożność wytchnienia i bezsenność. Ciało w ogóle, przez cały czas rozkwitu (rozwijania się) choroby, nie niszczało, lecz nadspodziewanie opierało się cierpieniom, tak, iż chorzy umierali po największej części dopiero dziewiątego lub siódmego dnia, od wewnętrznego żaru i to nie zupełnie jeszcze bezsilni, a jeśli kto przebył szczęśliwie ten okres choroby, to wtedy choroba opuszczała się do jamy brzusznej, następowało silne jej owrzodzenie, a jednocześnie napadała niepohamowana biegunka, wskutek której nareszcie większa część chorych umarła z zupełnego wyczerpania sił. Tak więc nieszczęsna owa choroba, począwszy od góry, to jest usadowiwszy się najprzód w głowie, przechodziła przez całe ciało, a jeśli kto wychodził cało z najbardziej gwałtownego jej napadu, to przynajmniej zajęcie kończyn pozostawiało za to ślady jej po sobie; uderzała bowiem na części sromne, na palce u rąk i nóg, i wielu wyzdrowiało, potraciciwszy te członki, niektórzy wzrok potracili, inni nareszcie, podniósłszy się z łoża, tracili wraz pamięć o wszystkiem bez różnicy; nie poznawali ani siebie samych, ani krewnych swoich.

Choroba owa, straszliwsza nad wszelką opowieść, i w wielu innych swych przejawach uderzała na każdego z większą siłą, aniżeliby ludzka wytrzymać mogła natura, i następnem zjawiskiem pouczała, że jest rzeczą szczególną, niezwyczajną: ptaki albowiem i wszelkie czworonożne zwierzęta, które się biorą do ludzi, aczkolwiek wiele trupów tarzało się bez pogrzebu, albo się wcale do nich nie zbliżały, albo też, skosztowawszy ich, zdychały same. Potwierdza się to i tem, że ubytek ptaków takowego rodzaju był oczywisty, nie widziano ich ani około trupów, ani gdzieindziej, na psach zaś, wskutek pozostawania ich z ludźmi, łatwiej jeszcze było spostrzedz zaraźliwość choroby.

Taką tedy była ogólna postać tej choroby, jeśli pominiemy wiele osobliwości, które u każdego chorego w odmiennych przejawiały się szczegółach. I żadna inna ze zwyczajnych chorób nie ciemiężyła podówczas ludzi, a jeśli się jaka zdarzyła, w tę się przeistaczała. Umierali zaś jedni wskutek braku opieki, drudzy, choć byli otoczeni najczulszą pieczołowitością. Ani jedno lekarstwo nie zyskało miana jedynego środka, użycie którego winnoby było przynieść pomoc niezawodną, albowiem to, co pomagało jednemu, szkodziło drugiemu. Nie wyjaśniło się też, czy krzepka, czy słaba budowa ciała lepiej się opiera chorobie, zgnębiała ona bowiem wszelkie organizmy ludzkie, nawet takich, którzy zachowywali najbaczniejszą djetę. Najstraszniejszą atoli rzeczą z całego tego nieszczęcia był upadek ducha, skoro tylko kto poczuł że jest chory (natychmiast bowiem ludzie, myśl pogrążywszy w rozpaczy, zaniedbywali się całkiem i nie walczyli z chorobą), oraz to, że pielęgnując jedni drugich zarażali się i marli jak owce; to właśnie było powodem największej śmiertelności. Ci, którzy ze strachu nie chcieli zbliżać się do ludzi, ginęli osamotnieni, i w ten sposób, z braku pomocy, opustoszało wiele domów; i ci, którzy się zbliżali, także ginęli, a zwłaszcza tacy, którzy się okazać pragnęli, wstydzili się bowiem oszczędzać się i odwiedzali przyjaciół; gdy i domowi już, zwyciężeni ogromem klęski, ustawali nakoniec od jęków nad umierającymi. Daleko bardziej jednakże boleli nad umierającymi i chorymi ci, którzy wyzdrowieli, poznali bowiem wpierw te męczarnie i sami już byli bezpieczni, bo powtórny napad choroby nie bywał śmiertelny. I za szczęśliwych poczytywali ich inni, i sami w uniesieniu radości i na przyszłość nikłej czepiali się nadziei, że już nigdy żadnej innej nie ulegną niemocy.

Oprócz owej nieszczęsnej klęski wielce był uciążliwym jak dla mieszkańców, tak i dla samych przybyszów, napływ ludności z siół do miasta. Z braku bowiem domów pędzili oni życie letnią porą w dusznych szałasach, wskutek czego między niemi szerzyła się straszliwa śmiertelność; umierający padali jedni na drugich; trupy walały się po ulicach; wszystkie źródła oblężone były przez napół żywe istoty rwące się do wody. Świątynie, po których obozowano, pełne były ciał tych, którzy tam pomarli. Ogłuszeni bowiem niedolą ludzie, nie wiedząc co się z niemi stanie, nie zważali już ani na religję, ani na uświęcone wiekami obyczaje. Wniwecz się obróciły wszelkie prawa, któremi się dawniej przy pogrzebach rządzono, każdy grzebał swego zmarłego jak mógł. A ponieważ wskutek tego, iż wielu już poprzednio pogrzebiono, okazywał się w danej chwili brak potrzebnych materjałów, wielu bezwstydnie urządzało pogrzeby: jedni bowiem, uprzedzając tych, którzy stos przygotowali, kładli nań swego trupa i stos podpalali, drudzy znów na płonącego trupa kładli z wierzchu tego, którego nieśli i oddalali się potem.

Po raz pierwszy też, wskutek tej choroby, poczęły się w mieście bezprawia na szeroką skalę. Śmielej teraz niejeden sięgał po rozkosze, z któremi się przedtem ukrywał, widząc jak w gwałtownej przemianie wybrańcy losu nagle stawali się łupem śmierci, a ci, którzy przedtem nic nie mieli, naraz stawali się panami ich majątków. Starano się więc nie czekać na rozkosz i nacieszyć się nią do syta, uważając i ciała swoje i majątki za rzeczy jednako znikome. Nikt się też nie rwał uznoić czoło dla szlachetnej sławy, poczytując za rzecz niepewną czy nie zginie pierwej nim celu swojego dopnie; za piękne i pożyteczne uważane było to, co odrazu stało się przyjemnością i zewsząd ku niej zmierzało. Ani bojaźń bogów, ani żadne prawo ludzkie nie krępowało już nikogo; widząc jak wszyscy bez różnicy giną, cześć bogów i ich lekceważenie na jednej kładziono szali; za występki zaś swoje nikt się nie spodziewał ponieść kary, nie spodziewał się bowiem, iż będzie żył aż do czasu, w którym na niego wyrok zapadnie; wyrozumieli więc ludzie, iż daleko groźniejszy jest wyrok już wygłoszony i wiszący nad niemi, przed spełnieniem którego godzi się skosztować nieco rozkoszy żywota.

W taką to klęskę popadli Ateńczycy: wewnątrz miasta marł lud, zewnątrz wrogowie kraj pustoszyli.

W nieszczęściu takiem, jak to zwykle bywa, przypomniano sobie wiersz, który, jak mówili starzy ludzie, kiedyś śpiewano:

„Przyjdzie wojna doryjska, a razem z wojną zaraza“.

Otóż powstał spór między ludźmi, iż starożytni w wierszu tym wymawiali nie „zaraza“ „(lojmos)“, lecz „głód“ („limos)“; zwyciężyło atoli do obecności nadające sie zdanie, że o zarazie tam mowa; ludzie bowiem do tego, co ich bolało, stosowali wspomnienie swoje To też sądzę, iż jeśliby kiedykolwiek wybuchła znowu, późniejsza od obecnej, wojna doryjska, a z nią nastałby głód, prawdopodobnie tak wtedy spiewać będą. Wspomnieli także świadomi rzeczy o wieszczbie, danej Lacedemończykom: gdy się radzili wyroczni, czy mają prowadzić wojnę, odpowiedział im bóg, iż zwyciężą, jeśli na wojnę wszystkie wytężą siły, i sam im obiecał pomagać[2]). Co się więc tyczy tej wieszczby, to wypadki zgadzały się z nią zupełnie, bo skoro tylko wtargnęli do kraju peloponezyjczykowie natychmiast rozpoczęła się choroba owa. Nadmienać przytem wypada, że do Peloponezu nie dosięgła zaraza, uderzyła tylko najsilniej na Ateny, a następnie i na niektóre inne, najgęściej zaludnione miejscowości.

Rzecz moją o chorobie owej na tem ograniczę.

[1]) 431 przed narodzeniem Chrystusa Pana.

[2]) „Apollon“, o którym tu mowa, był i bogiem zarazy.

Treść Nr. 4.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki